

A. SKOMANTY

Refleksje o pewnym układzie

Upłynęło blisko sześć lat — i to jakich lat! — a jeszcze dotychczas wydaje się rzecz przedwczesną mówić głośno i pisząc wyraźnie o tym układzie, który zerwał hamulec z wlewu motorów, aby rozprętał piekielny „taniec śmierci”; drugiej wojny światowej i który można uważać za bezpośredni wstęp do nieludzkiego konfliktu.

Jeszcze jest za wczesne, gdyż nie zostały dotąd ogłoszone, bo i dla oczywistych przyczyn nie mogły być ogłoszone, „białe księgi” na temat zakulisowych rokowań tego układu. Księgi te, skoro ujrzą światło dzienne, wyjawiają nam tajne dokumenty i sekrety kancelarii często o charakterze rosmansu kryminalnego. Wszystko zatem, czym w tej chwili możemy dysponować, to jedynie kilka dzienników z owego okresu i niektóre oświadczenia oficjalne Świeżej daty, mimo to zdaje nam się, że nawet te ułamki, złożone razem i uzupełnione, mogą trafić nie tylko obudzić w czytelniku żywe zainteresowanie się chwilą bieżącą, ale i nasunąć mu refleksje bardzo pożyteczne na najbliższą przyszłość.

Poniżej artykuł przybieramy zatem formę serii cytatów z towarzyszącymi im komentarzami, mającymi za zadanie podkreślenie tych wniosków, których całkowicie znaczenie docenia się dopiero dzisiaj.

Natychmiast po podpisaniu w Moskwie układu z 23 sierpnia 1939 r. zwołane zostało w największym pośpiechu, jako że wydarzenia nagły, posiedzenie Najwyższego Sowietu dla ratyfikacji tegoż układu (31 sierpnia) czyli w widlegie niemieckiej napaści na Polskę. Na posiedzeniu tym Molotow, ówczesny szef rządu, wygłosił mowę, w której wyjaśnił motywy zawarcia paktu. Posłuchajmy, jak tłumaczył on odgrywaną, odczytując rolę obrażonej niewinności, dlaczego rokowania rozpoczęte z Anglikami i Francuzami musiały upaść, a dlaczego rokowania z nacjonal-socjalistami zakończyły się paktem („Relacja Wewn.” 2.9.1939):

„O ile z jednej strony, dzisiejsze sprzymierzenie mocarstwa podkreślały powagę rokowań i konieczną szybkiej decyzji ze strony ZSRR, o tyle, z drugiej same zdradzały wielką opieszałość i traktowały owe rokowania nader powierzchownie, powierając je osobom drugorzędnej i nie posiadającym pełnych uprawnień... Niech wyjaśni resztę te, że delegacje wojskowe z Anglii i Francji przybyły do Moskwy bez pełnych uprawnień bez pozwolenia złożenia podpisu nad jakakolwiek wojskową umową. Ponadto wojskowa delegacja angielska przyjechała do Moskwy bez pełnych uprawnień szczególnych, dopiero na usilne nalegania naszej misji wojskowej przedstawia, bezpośrednio przed zerwaniem rokowań swoje pełne uprawnienia na

piśmie. Chodziło tu jednak wyłącznie o pełne uprawnienia o charakterze bardzo ogólnym, czyli o uprawnienia niewyłączające... Decyzja zawarcia paktu o nieagresji pomiędzy Rosją sowiecką a Niemcami powzięta została dopiero wówczas, kiedy wojskowe rokowania z Anglią i Francją znalazły się w ślonym zaułku”.

Rokowania, według Molotowa, stały na martwym punkcie dlatego, że postawa alianłów wykazywała „jasną spieczoność” w stosunku do ZSRR. „Rokowania zaś wojskowe nie daly żadnego wyniku, gdyż rozbiły się o fakt, że Polska, której gwarancji miały się podjąć Anglia i Francja i Związek Sowiecki, nie chciała przyjąć wojskowej pomocy Związku Sowieckiego. Nie nie potrafiło wpłynąć na zmianę owego stanowiska Polski. Z dalszych rokowań wynikało, iż Anglia nie była, że nie próbowała zmienić ustosunkowania się do Polski, ale że przeciwnie, sama je popierała”.

Układ „wybuchł”, według wyrażenia premiera Chamberlaina, jak „bomba”. W Berlinie wielką radość z dyplomatycznej porażki alianłów; w Moskwie duże zadowolenie z zagrożenia niebezpieczeństwa możliwej napaści niemieckiej; w Londynie zachowanie spokoju i ostrożności, ale, czuło się, że pod popiełem tej piórni urazy ze strony „tych, którzy nie zapominają”; w Tokio wielkie niezadowolenie; w Ameryce pozornie trójczne uspokojenie.

A oty, parę dowodów dla zilustrowania naszych twierdzeń. „Times” z 2.9.1939 daje następującą wiadomość z Moskwy: „Chociaż bieg wydarzeń nie wydaje się zaskakiwać tułczych obserwatorów, po mowie p. Molotowa przeważało wrażenie, iż rząd sowiecki jest ogromnie rad z odwołania Związku Sowieckiego od curojskiego załagaru”. Istotnie w owym okresie nie mało się słyszało o „strachu” Rosjan wobec niebezpieczeństwa nacjonal-socjalistycznego, począwszy od straszliwej „czystki” z 30 czerwca 1934 r. — Japoncyce, poważnie zajęci w Chinach i pragnący skierować uwagę ZSRR ku zachodowi, są bardzo niezadowoleni i zamknięci, czego bynajmniej nie maskują, używając na określenie paktu technicznego terminu niemieckiego: „strefa pałacu”. Przy tym wszystkim od razu mieli u siebie kryzys ministerialny. — W prasie Stanów Zjednoczonych ogólne wariacje na temat: „Rosja gotowa się sprzedać więcej dajacemu”.

Anglicy, umiejący w polityce mistrzowsko pomykać gorzkie pigułki, zachowali postawę godności i spokoju, ale wiczezy można było wyczuć między liniami ich dzienników z owych dni. Oto co premier Chamberlain, któremu przypadła obowiązek wyjaśnienia tej sprawy, mówił w dniu podpisania układu w Izbie Gmin (Relacja Wewn.):

„Angielska i francuska misja przybyły do Moskwy 11 sierpnia. Przyjęte zostały serdecznie, przyjaźnie, i rozmowy prowadzone były w oparciu o wzajemne zaufanie, kiedy nagle wybuchła bomba. Najbardziej, co można powiedzieć, o to, że jest rzeczą bardzo niepokojącą dowiedzieć się, iż podczas kiedy myśmy pracowali nad tymi rozmowami w podobnej atmosferze zaufania, rząd sowiecki pokryjomu przygotowywał z Niemcami układ, mający cele, które nam się wydają różne od celów rosyjskiej polityki zagranicznej, takiej, jak myśmy ją rozumieli. Nie mam dziś zamiaru wyrażać sądu o tym fakcie. Sądę, że dzisiaj na to jeszcze za wczesne...”

Lord Halifax w Izbie Lordów powtórzył za nim „...nie ukrywam przed wami, iż bardzo się niepokoję dowiedzieć się, że podczas kiedy...”, Eden zaś w Izbie Gmin mówił z mocą: „Jestem przekonany, że podpisując pakt z Rosją, rząd niemiecki popełnił największy błąd. Na podstawie ich oświadczeń i ich prasy, można sądzić, że Niemcom się wydaje, że na skutek tego faktu będą daleko myślicielni odwołanie nasze z zobowiązania wobec Polski”.

Tak wyglądałaby powierzchwnie, świadcząc oficjalnie, przesłane przez tak liczną siłą ostrożności i odpowiedzialności, że stały się niemal anemiczne. Ale w dziennikach angielskich znajduje się więcej, bo uwagi i obserwacje, mogące służyć za przedmowę do przyszłych „białych ksiąg”. Przedmowę to rozmowy anglo-francusko-rosyjskie wklejły się w ślimacznym tempie? Oto odpowiedź („Times”, 23.VIII.1939): „Jest już rzeczą wiadomą, że pierwsze kontakty Niemiec z Rosją nastąpiły w lutym. W połowie czerwca p. A. G. I. i. d. w. się już dobrze. C. i. t. „rozpuszczenie” oznacza. Również od dłuższego już czasu słyszało się z najlepszym żniel, że może w jeszcze większym stopniu przyczynę tego należy upatrywać w rosyjskim żądaniu zajęcia państw bałtyckich, które „o żądanie alianci kategorycznie odrzucili. I dopiero niedawno, podczas wielkiej debaty w Izbie Gmin na temat konferencji krymskiej oficjalnie wyszła na wierzch, choć niecislano, następująca prawda: („Osservatore Romano” 2.III.1945):

„Odpowiadając na pytanie Sir Archibalda Southby, dlaczego Wielka Brytania nie zawarła z Rosją traktatu w r. 1939, Eden wyraził się: „Je uważała, iż najlepszą odpowiedzią daje fakt, że Rosja pożyła wówczas za warunek zawarcia układu paktów przezeń dał swoich wojsk przez Polskę w razie wojny z Niemcami; przez

basadorowi sowieckiemu w Berlinie, p. Merekulowowi czteropunktowy plan w trzech swego partnera w „asi”. Z wiadomości na równocześnie ambasadorowi sowieckiego, że Niemcy są gotowe podpisać z rządem sowieckim pakt o nieagresji i niemieszania w nie, w miejsce sprawy wewnętrzne, zaliczając gwarancje nienaruszenia państw, znajdujących się pomiędzy obu krajami, włącznie z Polską, „Po załatwieniu w ten sposób sprawy polskiej, Niemcy zapewnią, że w szczególności nigdy nie zaatakują Ukrainy, a wreszcie zawrą umowę handlową. Sowiecki rząd nie powiadomił wówczas rządów brytyjskiego i francuskiego, z którymi prowadził rokowania, mające na celu zawarcie obronnego paktu trzech mocarstw, że podobna oferta została złożona. Mimo to, później, nadeszło prywatną drogą kilka ostrzeżeń, równocześnie z Moskwy i Berlina”.

Kiedy indziej zaś „Times”, (25.VIII) stwierdził: „Donuzą z Berlina, że p. von Ribbentrop zawiadomił p. Osimę, japońskiego ambasadora w Berlinie, że rokowania rosyjsko-niemieckie będą trwały dłużej czas”.

Mimo to było to zawiadomienie społone, ponieważ „według oficjalnych oświadczeń japońskich, rząd w Tokio uprzedzony został o rokowania rosyjsko-niemieckie w przeddzień wyjazdu von Ribbentropa do Moskwy”.

I tak rokowania anglo-francusko-rosyjskie zamieniły się w komedię retylowaną obustronnie („Times”, 23.VIII). „W tych okolicznościach nie moemy dłużej, się dziwić, że poprzednie rozmowy wlokły się tak wolno”.

Wycedzać z założenia, że „neutralność” a russe jest terminem elastycznym”, oficjalne kółka angielskie nie wydawały się przypisywać zbyt długiego życia tej rosyjsko-niemieckiej przyjaźni. „Times” z 23.VIIIisał: „Inni obserwatorzy, zastanawiając się, jaka może być wartość układu, zawartego przez dyktatorów-oportunistów, pytają, co się stanie, skoro w Moskwie Grek trafi na innego Greka”, lub 1. d. (24.VIII): „Jest rzeczą nader wątpliwą, ażeby Niemcom przysła jakakolwiek korzyść istotną z pokera, jaki się w tej chwili rozgrywa na Kremlu”. Te wszystkie „szlachetne” przewidywania na terminy polityczne, należy interpretować następująco (23.VIII): „Nie można wierzyć, ażeby Rosja pragnęła na dobre związać swój los z Niemcami; trudno sobie bowiem wyobrazić, ażeby pozwoliła ona Niemcom pochłonąć różne mniejsze narody, tak, ażeby na przykład, niemiecka granica zetknęła się z rosyjską, a wszystko to wzamian za pakt o nieagresji”.

Tużaj leży punkt decydujący, jak tego dowiodły późniejsze koleje wojny i jak to wykaza jeszcze jej dalsze koleje. Możemy zatem zrozumieć, dlaczego premier Chamberlain był zdania, iż „za wczesnie jest „wyrażać dzisiaj sąd o tym fakcie”. Pakt anglo-rosyjski z r. 1941, wizyty Churchill’a w Moskwie, konferencje „wielkiej trójki” w Teheranie i Jaicie, wszystko to wyłuczając konieczność i opozycję „przełożoną na terminy polityczne i pryncypialnie skazywana się. Mimo to zawsze jeszcze pozostaje linny problem, szczególnie ważny dla opinii angielskiej a mianowicie problem „zapamiętnienia”, lub znalezienia podstawy, dla stosunków, które powstały w innych okolicznościach, na przykład po klęsce Niemiec i Japonii.

Za główny powód zerwania rokowań anglo-francusko-rosyjskich w r. 1939 uważało się zawsze, od przemówienia Molotowa począwszy aż do niedawna, odrucenie przez rząd polski żądania przepuszczenia wojsk rosyjskich przez kraj w wypadku konfliktu z Niemcami. Dzisiaj, po dowiedzeniach z krajami byłeckimi, z Polską, Rumunią, Bułgarią, Węgrami i t. d. i. d., wie się już dobrze. C. i. t. „rozpuszczenie” oznacza. Również od dłuższego już czasu słyszało się z najlepszym żniel, że może w jeszcze większym stopniu przyczynę tego należy upatrywać w rosyjskim żądaniu zajęcia państw bałtyckich, które „o żądanie alianci kategorycznie odrzucili. I dopiero niedawno, podczas wielkiej debaty w Izbie Gmin na temat konferencji krymskiej oficjalnie wyszła na wierzch, choć niecislano, następująca prawda: („Osservatore Romano” 2.III.1945):

„Odpowiadając na pytanie Sir Archibalda Southby, dlaczego Wielka Brytania nie zawarła z Rosją traktatu w r. 1939, Eden wyraził się: „Je uważała, iż najlepszą odpowiedzią daje fakt, że Rosja pożyła wówczas za warunek zawarcia układu paktów przezeń dał swoich wojsk przez Polskę w razie wojny z Niemcami; przez

Polskę, albo też przez kraje bałtyckie. Rząd polski, do którego się zwrócono z zapytaniem, nie zgodził się na rosyjskie żądanie. Sądę że to mniej więcej spowodowało upadek rokowań”. A zatem na temat krajów bałtyckich chwylono ani słowa, poza owymi „albo też” i „mniej więcej”, ale podobnie jak w roku 1939 rządy państw bałtyckich nie zostały zapytane o zdanie, bo byłoby to całkowicie zbędnym, (równałoby się bowiem zaproponowaniu im podpisania na siebie wyroku śmierci), podobnie i dzisiaj o wiele głębiej przyczyniły kryją się za lakoniczną wstrzeźliwość oświadczeń oficjalnych. Korpondent, mogąc się wyrazić znacznie swobodniej, wyjaśnia nam: „Osservatore Romano”, 21.VIII. 1945 r.):

„W Chamberlain pisze w ostatnim artykule w „New York World”: „W sprawie Polski nie chodzi o brak zgody co do granic. Chodzi o zasady Karty Atlantycznej o decydowanie o własnym losie przez same narody, o ich niepodległość i równość. Owa Karta nie stanowi tylko deklaracji zasad teoretycznych, mówi ona również o narodowych interesach Ameryki. Decyzje krymskie odwołują się wprawdzie do Karty Atlantycznej, ale równocześnie przesądają o losie terytoriów bez zgody narodów. Trezba, ażeby na konferencji pokojowej te decyzje uległy rewizji. Między innymi należy zapewnić swobodę wyborów w Polsce, a w tym celu obecny system autorytarny musi ustąpić miejsca innej władzy, która by dała gwarancje demokracji”. Od tego będą zależały, czy jąta także się jutrznią nowych czasów, czy też zapowiedzią przyszłych komplikacji. Wolna Polska, podobnie jak wolne republiki: Rumunia, Czecho-Słowacja, Jugosławia, Finlandia, Lotwa, Litwa, Estonia nie zagrożą nigdy pokójowi. Groźba zawisła nad Wielką Brytanią, a pośrednio i nad Stanami Zjednoczonymi, gdy stanie się inaczej”.

Mówiąc o tym, nie trzeba zapominać zdania ministra Edena, wygłoszonego w Glasgow („Union Jack”, 22.III.1945), „o odpowiedzialności za niedopuszczenie, by Europa dostała się kiedykulwiek pod panowanie jednego mocarstwa”.

Dość, żeśmy nie ruszyli z miejsca! Druga wojna światowa wybuchła z powodu Polski i państw bałtyckich, a obecnie naręczenie stosunków i tarcia pomiędzy mocarstwami anglosaskimi i ZSRR rósł z tegoż samej przyczyny. Obiegły krąg szczęści straszliwych lat, znajdujemy nie mniej więcej w tym samym punkcie, niżczym ów znany symbol alchemików: wąż grzący własny ogon. Strefa Europy środkowo-wschodniej przedstawia jakiś fatalizm historyczno-geograficzny, jest obszarem splatania się życiowych interesów międzykulturalnych, a w dzisiejszych okolicznościach staje się znową strefą kryzysu, którego przyczyną jest rozbieżność poglądów pomiędzy mocarstwami wysuwanymi wielkie wizje nowych programów i wielkie też sztyndary.

Tak było w roku 1939 i tak jest dzisiaj, ale ogólne warunki zmieniły się i gra się jest różna. Wówczas bardzo wielu partnerów brało udział w grze, mniej lub więcej wielkich: Anglia, Francja, Włochy, Niemcy, Polska, ZSRR, Japonia i z dalką rosyjski Stany Zjednoczone. Teraz gra ograniczyła liczbę partnerów, przez co być może stała się niebezpieczniejszą. Czy „rycerski gest” radia Tokio („Osservatore Romano”, 15.IV.1945 r.) o okazji śmierci Roosevelt’a oznaczał coś bardzo poważnego, jak się to szepce po kłtach, czy też wojna na Dale. Wschodzie dłużej się jeszcze przeciągnie, koniec końcem, wczesniej czy później, dojdziemy do liczb trzech partnerów, albo według kombinacji w wielkim stylu, jedynie od dwóch: zwycięzów tej wojny: Anglo-asów i Rosjan. A to z punktu widzenia formaisnego, lub logicznego, może oznaczać trwałe porozumienie, albo i chwiejny kompromis, albo też „out-out”.

Założenia wszystkim są wiadome. Ze strony rosyjskiej — rewolucja światowa z metodami znanych już od trzech dziesiątków lat: ze strony angielskiej — wielkość polityka imperium Commonwealthu i ilitacje z nią przybranie postawy, również wielkiej, wobec Rosji; ze strony amerykańskiej wreszcie — nigdy jeszcze niedziwianym wyciecz w tak krótkim czasie o dminujące miejsce w świecie. Nowy prezydent Truman w swej pierwszej mowie wobec prasy wyraził się, jak następuje: „Ameryka stała się dzisiaj jednym z najpotężniejszych mocarstw świata i powinniśmy dążyć do tego, ażeby nim była dalej. Osągnęliśmy w świecie kierownicze miejsce, które nie należy jedynie od potęgi wojskowej i morskiej”.

Poszukiwania

Światowy Związek Polaków z Zagranicy — World League of Poles Abroad, 38 Wilton Crescent, London S.W.1, England, prosi następujące osoby o podanie swoich adresów:

Andrzejewski Ksawery, syn Juliana i Marii, ur. w r. 1901, w okolicy Jackiewicz, pow. Wilejska, wj. Wileński, wyjechał w r. 1931 do Francji, gdzie pracował jako robotnik rolny — poszukiwany przez Płut. Kattan Jana, P/43, Polish Forces, B.L.A.

Gębliński Józef, ostatni adres, Lennoxville, Acadrolles, Naddington, East Lothian (Scotland) — poszukiwany przez siostrę Gęblińską Genowefę, urz. Konsulatu R.P. w Paryżu, proszony o skomunikowanie się z J. Massalki, Światłoi.

Kotowski Stanisław, ur. 1.7.1905 w m. Kossaki Nadbnie, pow. Łomża, syn Wikłora i Stefani — poszukiwany przez Trzaska Jadwigę, 10 Woking Str., Worcester 4, Mass., U.S.A.

Eliasz Kozł (Kozji) — poszukiwany przez brata Metro Kozł (Kozji), P.O. Herndon, Sask, Canada. Światłoi posiada dla niego list.

Kusiak (Kusiłk) Edward kp. przebywał jakiś czas w Kanadzie, obecnie prawdopodobnie znajduje się w Anglii.

Kosakowski Wacław, pochodzi z okolic Łomży, od szeregu lat służy w wojsku polskim, przed 20 laty był w stopniu kapitana.

Szatkowski Józef, przebywał w Rumunii, obecnie prawdopodobnie znajduje się w Angli — wżycy w imieniu rodziny poszukiwani przez Irene Puchowska, 240, E Hudson Str., Toledo 8, Ohio, U.S.A.

Krewini i znajomi lub osoby pochodzące ze wsi Wyżki, gm. Puchowy, pow. i Orz — poszukiwani przez Tyszkę Józefa, Amherst, Ohio, U.S.A. 367th Ord. Maint. G.A.R. APO 655, U.S. Army.

STEFAN KOSSAK

W uwolnionym obozie

Londyn w kwietniu 1945 r.

Dopiero kilkanaście godzin temu zdenerżonego pułku pancernego uolnili obóz Polek — jeńców wojennych z walk warszawskich. Kilkanaście godzin temu dowódca pułku odbierał pierwszy raport od Komendantki obozu. Wiadomość o uwolnieniu rozeszła się w mgnięciu oka po wszystkich oddziałach Dywizji. Poruszenie powszechne.

Wyjeżdżamy z holenderskiego miasteczka Ter Apel, zrazu drogą dobrą, potem polną, wreszcie na przelazie poprzez tor kolejowy, granicę niemiecką i mały las. Jesteśmy teraz na polnej drodze, rzuconej prosto wśród równin, dobrze uprawnych pól. Kilka kilometrów i po lewej stronie pokazuje się naprzód wysoka wieża strażnicza, potem baraki, a nad nimi — biało-czerwona chorągiew. To obóz, nad którym wczoraj jeszcze o tej porze powiewał znak hitlerowski.

Ostatni skręt drogi i wreszcie zbliżamy się do bramy. Zasięki, jakiś wał ziemny, druga brama a przy niej wartownik z czerwono-białą opaską i karabinkiem maszynowym. Młoda dziewczyna, w amerykańskiej kurtce wojskowej, w furacjerze ze błękitnym orzełkiem i proporcjami pancernymi na kotnierzu. Wyprężona, skupiona, salutuje po polsku, dwoma palcami — przepuszcza nas. Jesteśmy w obozie.

Wrażenie jedyne: na obszernym placu obozowym długie szereg dziewcząt i kobiet, ubranych w mundury wojskowe i sukienki cywilne, w wysokich butach i szatach drewnianych, w spodniach narciarskich i w amerykańskich mundurach. Przedziwna mieszanina straju i wieku. Oznaki różnych broni i służb, opaski o barwach polskich, orzełki na czapkach i naszytki i gwiazdki różnych stopni. To kobiety-jeńcy wojenni, osadzeni przez Niemców w tym obozie, słuchający muzyki polowej na placu obozowym. Nabożeństwo kończy się, oddziały rozechodzą się i teraz ku wewnętrznej bramie obozu, której jeszcze nie przekroczyliśmy — zbliża się ta masa kobiet i dziewcząt.

To pierwsze spotkanie z ludźmi z Kraju. Spotkanie w najbardziej chyba dramatycznych warunkach, kiedy Dywizja, wypierająca Niemców z Holandii, zapisuje może ostatnią już kartkę udziału polskiego w tej wojnie! Spotkanie z Polkami-żołnierzami, które przeszły najtragiczniejszą z wszystkich bitew tej wojny, które opuszczając Warszawę patrzyły własnymi oczyma na pozostałe po niej ruiny i zgłiszczają.

Przyjmują nas serdecznie, chociaż wyczuć można wzajemne omieszniczenie. Po naszej stronie jest obawa, tylekrotnie przecież w długich rozmowach wyrażana — obawaczy nam za zię nie biorą i tego długiego pobytu na Obczyźnie i tego zaklimatyzowania się na szerokim świecie. Po tamtej stronie niepewność — jak wypadnie ta pierwsza rozmowa, jakie nowiny przyniosła ci Polacy, „swoi a przecież już inni” (jak to potem jedna z pań określiła).

Ale to uczucie mija szybko. Rozmawiają już teraz wszyscy, jak starzy znajomi. Okazuje się, że nie straciłmy łączności, że nadal rozumiemy się, że mamy te same troski, te same plany, które najkrócej ujmuje chyba pytanie: kiedy da się wrócić do Polski? To pytanie powraca stale, wszędzie. Ale nie brak innych: co o nas myśleliście tam na obczyźnie? co wście o Warszawie? czy zdajecie sobie sprawę z tego, co to było? i jak to było? czy za granicą wie o tym dostatecznie? czy poinformowaliście naszych sojuszników o tym, jak tam naprawdę było?

Ale trzeba odpuszczać (o ile to możliwe) wzruszenie i tabrać się do zbierania informacji. Wiele obóz pomieszczony jest zdalek od większych osiedli, w szerszej równinie, w pobliżu gospodarstw niemieckich „Bauerów”. Ma drewniane baraki, drewniane łóżka wielopiętrowe, śpi się na cienkiej warstwie słomy położonej w sieniaku na kilku deskach. Wyżywienie jest fatalne, poniżej najskromniejszych wymagań.

Oboz istnieje od grudnia, sprowadzono do niego transporty z różnych innych obozów, które — na ogół biorąc — były lepsze pod względem wyżywienia i moży twóci przetrwania. Przede wszystkim były to obozy mieszane i dawni i istniejące. Nasze Polki miały w nich pomoc od uwolnionych kolegów z Armii Krajowej i od innych jeńców: Francuzów, Holenderów, Obóz w Hintersen Busch, reklamowany przez Niemców

jako „wzorowy obóz kobiety” miał niemiecką straż — kilkudziesięciu ludzi — i Wochoów, którzy wykonywali prace administracyjne i porządkowe.

W obozie przebywa 1728 kobiet, uczestniczek walk warszawskich. W ostatnim czasie Niemcy dołączyli około 40 kobiet cywilnych, wywiezionych z Polski. Wiek:

od 16 lat w górę, ale jest także 3 chłopców i 5 dziewczynki w wieku od 8 — 12 lat. Było więcej dzieci, lecz w dniu 2 stycznia 1945 Niemcy wywieźli 35 miesięcy chłopców na roboty! Wreszcie urodziło się w obozie dziesięcioro dzieci: 3 dziewczynki i 6 chłopców! Te niemowlęta, urodzone w szpitalu obozowym, chowają się doskonale.

Trudno po kilku godzinach w obozie wyrobić sobie sąd, wyobrazić sobie nawet — jak tam wyglądało codzienne życie. Przede wszystkim uderza nas jedno: nie słychać żadnych skarg. Nikt się nie skarży. Słyszymy opowiadania o najgorszych chwilach walk warszawskich, kiedy nie można było próbować ratować najbliższych z gruzów domów, bo trzeba było wytrwać na wyznaczonym posterunku. Słyszymy o czworodniowym transporcie trzusty rannych i personelu szpitalnego w specjalnie zaplanowanych wagonach bez odrobiny pożywienia czy napoju. Słyszymy o szarych wymyślanych przez Niemców, ale to wszystko wypowiedziane spokojnie, poważnie i bez akcentu skargi. Te kobiety, które opuściły ruiny i gruzы wszystkiego, co było im drogim, które od miesięcy a często od lat są bez wiadomości od najbliższych, które przetrwały długie lata niemieckiej okupacji, wzięły udział w potężnym zrywaniu walki o wolność stolicy — te kobiety nie skarżą się, nie żalą. Przeciwnie: wydaje się, że niczego nie potrzebują. Niczego prócz odpowiedzi na pytanie: kiedy wrócimy?

Trzeba użyć trudu i namowy, aby nakłonić nasze Polki do przyjęcia papierosów czy czekolady. Wydawało się, że im naprawdę niczego nie potrzeba.

Zwiedzamy teraz szpital obozowy. W jednym baraku mieści się sala „wewnętrzna” i trzy sale chirurgiczne, sala operacyjna i kancelaria. W innym oddziale położniczym. Szpitalem kieruje dr Jadwiga Dobrowolska, lekarka ubezpieczalni społecznej w Warszawie, która podczas walk warszawskich prowadziła punkt opatrunkowy na Czerniakowie. Wywieziona za szpitalem do Obozu Gross Litzbarz (pod Magdeburgiem) pracowała tam jako ordynator w szpitalu leczącym 748 rannych i personelu. Obecnie w stanie szpitala jest 152 chorych, 73 siostry, cztery lekarki i cztery dentystki. Administrację szpitala prowadzi „Siwa” (p. Bolesława Gudera), która podczas obrony Warszawy prowadziła zorganizowanie przed siebie szpital.

Przechodząc przez sale szpitalne — oprócz chorych są jeszcze ciągle ranne z obrony Warszawy i inwalidki bez nóg. To chyba powinno pozostać najbardziej przegnąbiające wrażenie. A tymczasem wszędzie ten sam nastrój, ten sam duch — wiara w przyszłość i głęboki, pozabawiony śladu patosu patriotyzm.

Podsumowując wrażenia z pobytu w obozie trzeba by przede wszystkim próbować oddać panującą tam nastrój. To jest zadanie najtrudniejsze. Nastrój jest bardzo polski, żywy i zarazem głęboki. Brak patosu i wszelkiego cierpiętnictwa. To nie jest środowisko męczenniczeńki, które niczego od życia nie żąda. To zbiorowisko kobiet i dziewcząt, które przecierpiały wiele, były wście — ale nie zatraciły ani wiary w przyszłość, ani pogody ducha.

Pobyt przez kilka godzin w obozie był dla przeciętnego Polaka — najmocniejszym chyba przeżyciem od wielu lat. Był pierwszą próbą zetknięcia na szerszą skalę z ludźmi z Kraju, z ich własnym, innym od naszego, ale bardzo, może nawet bardziej polskim sposobem myślenia. Próba wypaść dobrze, żadna strona nie wyniosła z niej uczucia obcości, ale przeciwnie, wzmożenie poczucia wspólności, jedności. O ile dla nas ta obczyźnizna upór i wytrwałość, z jakimi trzymamy się raz wyznaczonej drogi w dążeniu do Polski — jest legitymacją do tego powrotu, to dla tamtych ta niezachwiana wiara, nawet w najczarniejszych chwilach, ten pełny udział w walce o Warszawę i Gługi okres okupacji czy niewoli — są gwarancją oromnej, nieoczekiwanej wielkiej żywotności narodu polskiego i polskości.

(„Polska Walcząca — Żołnierz Polski na Obczyźnie”, Nr 17).



General Bór-Komorowski rozmawia z żandarmem amerykańskim bezpośrednio po uwolnieniu z niewoli niemieckiej

GEN. BÓR-KOMOROWSKI NA WOLNOŚCI

Gen Bór-Komorowski, Dowódca Armii Krajowej, bohaterki obrońcy Warszawy w pamiętnym powstaniu, mianowany przez Prezydenta Rzeczypospolitej Naczelnym Wodzem Polskich Sił Zbrojnych w przededniu dostania się do niewoli niemieckiej, jest znów na wolności po tylu latach walki podziemnej, po miesiącach życia w więzieniu, gdzie do ostatniej chwili odrzucał wszelkie awanse wroga. Witaj go naprzód w Paryżu serdecznie gen. Władysław Anders, p. o. Naczelnego Wodza, witaj go w Londynie rząd polski z premierem Arcyszewskim na czele, witaj go Prezydent Rzeczypospolitej, witają go również z sercem otwartym wszyscy żołnierze Rzeczypospolitej, gdziekolwiek się znajdują.

Gen. Bór-Komorowski był wodzem najpotężniejszej Armii Podziemnej, jaka powstała w Europie ujemzioniej przez Niemców. Armia ta była wyrazem nie tylko naszej tężyzny narodowej, ale i woli niezłomnej przywrócenia niepodległości, jak i wiary w zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości. Wolny duch polski, który ją tworzył, przełamywał wszelkie przeszkody, nie dając się pokonać tym, przed którymi gępiły się największe potęgi. Siła Armii uwarowała się już otwarcie najpierw w jej bojach z Niemcami na Wołyniu, w Wilnie, w Nowogrodzku, w województwie łowickim. Doskonale zorganizowane dywizje polskie wyrastały nagłe z pod ziemi przed Niemcami, którzy w swym totalitarnym zaścianku sędzieli, że Polska rządzi, że Polski nie ma. Czynem wskazał najpotężniejszym tej Armii, czynem, który wzrósł naśmieniem świata, było wywołanie własnym wysiłkiem Warszawy na okres 63 pamiętnych, chwalebnych dni powstania i

walki. Druga wielka bitwa o Warszawę stała się wydarzeniem bezprzykładnym nie tylko w tej wojnie, ale i bodaj w dziejach ludzkości. Świat nie widział dotychczas takich dowodów męstwa i takiej bezbrzeżnej ofiary, okazanych w takich warunkach.

Była to jednak również bitwa najtragiczniejsza, jaka nam stoczyła wypadło w tej wojnie. Nie tylko dlatego, że placiliśmy za nią zburzeniem stolicy i cierpieniem nadludzkim jej wspaniałych mieszkańców, ale że towarzyszyły walkom dramatyczne wydarzenia, niezłomne od woli opuszczone powstańców. Czyny zaś ofiarne i nieśmiertelne obrońców Warszawy i żołnierzy Armii Krajowej plugawione były przez zdradziecką propagandę tak, jak plugawiony był wódz tej Armii, gen. T. Bór-Komorowski. Wypadki z r. 1939 powtórzyły się w r. 1944 na skalę znacznie większą, znaczenie jaskrawsze i bardziej jeszcze cyniczne. Armii Krajowej nie pozwolono się cieszyć zwycięstwem. Przygotowywano dla niej bowiem los okrutny, los dobrze nam znany...

Na zwycięstwo wszakże prawdziwe czeka wciąż nadal niezachwiany naród. Czeka, by te cele, dla których chwycił za broń w roku 1939, zstały osiągnięte, krzywdy naprawione, sprawiedliwość wszystkim odana. Gen. Bór-Komorowski, którego nazwiska, jako jednego z bohaterów tej wojny, stało się głośne w świecie całym w pamiętnych tygodniach sierpnia, września i października ub. r., staje się znów, będąc na wolności, wyrazem prawdy polskiej i niezłomnego ducha tego narodu, który nie wrzucił się w najgorszych okolicznościach walki o niepodległość prawdziwą.

W zwycięstwo

Pieśń Armii Krajowej (Muzyka i słowa przystane z kraju)

Ten Bóg, co Wisłę pcha ku morzu,
Kieruje rytmem naszej krwi,
Wrogowie darmo kłęską groźną,
Krew nasza hymnem broni.
Fyły, Wisło, nikt fal nie zawróci,
By się cętny w źródła górn,
I nikt nas w marszu nie odrzuci,
Gdy idziem w przyszłość — żywy mur!

Gdy gniewny się opiera los,
Dumnie: ży tylko jest nasz głos,
Zmniejszyć tylko jest nasz wrzok,
Pewniejszy tylko jest nasz krok
W zwycięstwo!

Poznałimy ich wolność podłł
W obozów grzie, w jamach cel,
Ich twarze nazaczone zbrodnią —
Gestapo i Enkrawde!

Czyż jedna nas powali kłęska,
I jeden nas przetraci oś?
Nam z kłęsk wyrasta moc zwycięska,
A z mocy tej zwycięski los!

Gdy gniewny się opiera los

Narody wolne! Wasze prawa
My o łpniemy pierwszą swą,
Dziś wspólna nam się dala, sprawa
Na chwałę wlnym światu dniom.
My w waszych bitwach się bijemy,
Wy z naszą walką ięście się,
Na chwałę świętym prawom ziemi,
Co wolna wolnych ludów chce!

Gdy gniewny się opiera los

Tekst nutowy Pieśni Armii Krajowej podamy w następnym numerze.

Po włosku o Monte Cassino

Broszura włoska w rocznicę zdobycia Monte Cassino ukazała się dnia 18 b.m. („L'Esercito polacco in Italia — da Montę Cassino a Bologna”, S.E.T. Apollon, Roma 1945, str. 32, ilustracji 17). Obszerne omówienie zamieścimy w najbliższym numerze.

JANOSTA

Sowieckie reformy w kraju

Czas już najwyższy na omówienie sowieckich „reform” w Kraju. Pochód wojsk sowieckich w głąb Europy skończył się, lecz trwa nadal sowiecka ekspansja polityczna. Zajawmy Polskę, pierwszy krok zachodnio-europejski, Sowiety zdążył sobie odrazu sprawić z tego, — iż zdobył tym samym wspaniałą scenę do zagrania na niej obłężymy sztuki propagandowej dla całego amfiteatru narodów oraz dla galerii przyjaznych sobie stronnictw politycznych na Zachodzie.

Dlatego ważne jest dla nas nie tylko to, co dzieje się wewnątrz Kraju. Zapatrzeni w Kraj, powinniśmy jednak równocześnie i od zewnątrz objąć całą perspektywę toczącą się na scenie wielkiej gry, obliczonej na światową widownię.

Dopiero z tej perspektywy całego amfiteatru, dla którego „Sztuka o Reformach w Polsce” jest grana, zrozumimy, że w ramach sowieckiej Polski ma stać się dla Europy teatrem pokazowym — teatrem wyborani — teatrem mówionym, pisanim i głoszonym na cały świat przez wszystkie moskiewskie i lubelskie rozgłośnie.

Jednak dzięki wiadomościom, stale napływającym z Kraju, wiemy już dziś o tych „reformach” wszystko, co potrzeba, aby móc porównać propagandę z rzeczywistością.

Przeprowadzimy tu pokrótce to porównanie.

Otóż Sowiety głoszą światu, że nie zamierzają bynajmniej wcielić Polski do Rosji, ani narzucić jej systemu sowieckiego, — lecz, że odbudowują „niepodległe Państwo Polskie”, które posiadać będzie samodzielną organizację państwową i swój własny ustrój społeczno-gospodarczy. Polska pod opieką Moskwy sama określi swą nową demokratyczną organizację.

Polityka i propaganda sowiecka silą się wszelkimi sposobami wnieść w świat tę pierwszą fikcję: „niepodległość Polski”.

Na jej poparcie Moskwa oddawna przedsięwzięła szereg kroków na pokaz i nadała im światowy rozgłos, więc: mianowanie sowieckiego „rządu tymczasowego”, przekazanie mu administracji ziem polskich, wymiana ambasadorów, uznanie go przez „rządy” Benesa i Tity, narzucenie za to podstawę ugody w Jaltcie, zawarcie z nim szeregu umów niby z odrębnym państwem, uroczyste podpisanie traktatu przyjaźni i wzajemnej pomocy — jak równy z równym, zdanie dopuszczania go do udziału w konferencji w San Francisco, doraźne wcielenie do Polski rozległych obszarów na Pomorzu i Śląsku (bez zwłoki uprzednio zapowiadanej w Jaltcie).

Wszystkie te kroki łączy się światu jako doniosłe akty między państwowe, jako wielkie fakty dokonane. Te akty i fakty mają, rzecz jasna, swoją wymowę oraz silę przekonywania właściwą wszelkim faktom dokonanym — zwłaszcza w połączeniu z wielkimi uroczystościami na Kremlu i dziejotwórczym krasomówstwem samego Stalina.

Wszystko to ma na celu wpaść w narody przekonanie, że Polsce dana jest istota samodzielną, a Rosja łącznie tylko podwaliny trwałej polsko-rosyjskiej współpracy — wewnątrz Kraju zaś ułatwia polskim siłom „demokratycznym” wyzwolenie się z pozostałości „faszyzmu” i zbudowanie nowego ustroju nie na wzór sowiecki, lecz wedle własnych polskich i zachodnio-europejskich idei.

Zamiary Stalina idą dalej niż obietnice cara Aleksandra I, gdy porządził Konstytucję Królestwu Kongresowemu, aby je zagarnąć. Przez swe „reformy” w Polsce Stalin chce, aby narody zaczęły widzieć w Rosji zwycięską opiekunkę „prawdziwej demokracji” — gotową w każdym kraju pomoc do przeprowadzenia „ko-

niecznych reform”, których lud własnymi siłami nie jest w stanie zrealizować — wskutek oporu kapitalistycznych lub faszystowskich rządów.

Dając liczyć na swą pomoc w dziele powszechnych reform, Rosja obiecuje zarazem uszanować pełną suwerenność wszystkim swym „klientom”. Jako przykład wysuwa właśnie „niepodległość” Polski. Dalszą ręką w tym kierunku ma być również „usamodzielenie” rosyjskich republik — na początku: ukraińskiej i białoruskiej. Nadto Rosja poręcza wszystkim pełną odrębność ustroju, przyczek, że nikogo nie będzie zmuszała do wprowadzania u siebie „klasycznego” sowieckiego komunizmu. W tej myśli rozwinęła przecież Komintern. Byłoby tylko każdy naród u niej szukał pomocy w

bardziej do programów zachodnio-europejskich niż do wzoru sowieckiego.

Lecz napływające z Kraju wiadomości wykazują dobitnie, iż wszystko, co o swych reformach w Polsce głosi światu propaganda sowiecka, jest fałszem od pierwszego do ostatniego słowa, — że nie tylko „rząd tymczasowy” ale i te „reformy” są fikcjami dla podbicia sobie mas ludowych we wszystkich krajach.

W rzeczywistości są fikcjami tymi idzie systematyczne niszczenie cywilizacji zachodniej i przymusowe wdrażanie systemu sowieckiego — bez najmniejszych odchyleń.

Szczegółowy obraz wszystkich po kolei reform sowieckich w Polsce wymagałby szerszego rozwinięcia. Ograniczymy się tylko do ich charakterystyki:



Fot. J. Michalski

Dowódca 2. Korpusu gen. Szyszko-Bohusz po defiladzie w Bolonii w dniu 3.V. 1945 r. dzięki dowódcy oddziału

realizacji własnych swych ideałów ustrojowych.

Ten główny swój cel ma Moskwa na oku w Polsce. Dlatego głosi na zewnątrz, iż nie narzuca Polsce sowieckiego ustroju. Dlatego nie rozgląda na Polskę konstytucji stałobolszewickiej, lecz „przywraca” jej własny ideał demokracji”. Dlatego nie stawia zasady „dyktatoru proletariatu”, nie ustanawia w Polsce „monopol partii komunistycznej, lecz „tworzy” czysto osobne stronnictwo. Dlatego nie głosi o totalitaryzmie materializmu i walki z burżuazją, „poprzestaje” na oddzieleniu Kierownictwa państwa, rozwiązaniu zakonów i wywłaszczeniu ich dóbr. Dlatego ziemi nie oddaje na własność państwu, lecz przeprowadza pospiesznie reformę ról, ziemię z parcelacji oddaje na własność chłopom. Dlatego „gospodarkę indywidualną, samopomoc chłopską i rolniczą” — ogranicza się „jedynie” do upaństwowienia lasów. Dlatego wreszcie nie oddaje upaństwowienia przemysłu, obejmując tylko w zarząd przedsiębiorstwa, w których zakłady „wobec nieobecności ich właścicieli” i poprzestaje na poddaniu całego przemysłu kontroli społecznej przez ustanowienie przy każdym przedsiębiorstwie „robotniczej rady zakładowej”. Dlatego głosi „uruchomienie” całego przemysłu i „zapewnienie” mu pomoc w perspektiwy technicznej, sprzęcie i dostawach surowców z Rosji. Dlatego głosi również „odbudowę” komunikacji oraz zniszczenie wojennych — ba! nawet odbudowę całej Warszawy przez „wydatkę sowieckiej pomocy”. Dlatego na koniec ogłasza i przeprowadza powszechną „reparację” tych wszystkich, których narząd została i pozbawia obywatelstwa polskiego, by je obecnie przywrócić w natężonej uprzejmości „niepodległości” Polski.

„Szuchając” wszystkich co stoi Moskwa, moŜaby niemal sądzić, że sowieci lubelski podjął w Polsce realizację niektórych reform społecznych gospodarczych, zapowiadanych przez naszą Radę Jedności Narodowej, a wypracowanych przez Polskie Państwo Podziemne pod niemiecką okupacją w projektach z 15 sierpnia 1943 r. i 15 marca 1944 r. i 15 sierpnia 1944 r.

Otóż Moskiewskie chodzi właśnie o to, aby fałsz uwiarylić że „rząd tymczasowy” w Polsce pod sowiecką opieką realizuje własny polski program polityczny pod-

1. Ostatnio obszernie pisaliśmy o tym, że „rząd tymczasowy” okazał się już fikcją — wstępem do całkowitego wcielenia Polski do Rosji oraz do szybkiego przebudowania jej na wzór ustroju sowieckiego. „Rząd” ten nie posiada żadnej samodzielną władzy w żadnym dziale administracji państwowej. Tak władza „ukazodawcza” jak i wykonawcza we wszystkich działach należy do sowieckiego zarządu wojskowego. „Rząd tymczasowy” jest instrumentem NKWD do „spraw wewnętrznych”, działalność jego streszcza się w poniższej roboczej wywiadowni i prowokacyjnej.

2. Ziemia z parcelacji w wykonaniu reformy rolnej została wprowadzić oddana chłopom na własność, a dla przypieczenia reformy wiele tysięcy ziemian zesłano już do Rosji, pozbywając się za jednym zamachem „wrogów polskiej demokracji”. Większe majątki (ponad 200 ha) rozparcelowano. Średnie jednak upaństwowiono, robąc z nich odradu „sochwyż”. Wszelkie zaś spiesznie przeobrażone na „kolech” i zmuszane do gospodarki kolektywnej — z konieczności — przez: brak rąk do pracy (póbr), zakaz budowania się na rozparcelowanej ziemi, brak maszyn i narzędzi rolniczych oraz wszelkiego inwentarza. Z majątków a nawet z wsi wszystko to wywieziono w wielkich ilościach do Rosji. Kontingenty rolne dla armii sowieckiej są wszędzie znacznie wyższe niż pod okupacją niemiecką (np. w Białym Okciu — trzykrotnie). Gospodarstwa ugo osoco zupełnie z koni, bydła i wszelkiego inwentarza żywego. Nawet rasowe byki poszły pod noż. Na zastępy brak ziarna.

Swymi ziemie podzielono między chłopów, a równocześnie ograbiono ich ze wszelkiego, co niezbędne dla uprawy: żelaz, maszyn i narzędzi oraz potrzebnego inwentarza. Nadto kwatery wojak, grabież i rekwizycje dopełniają miary powszechnej nędzy po wsiach. Poziom jej w Kraju szybkimi krokami zrownał się z rosyjską normą nędzy powszechnej.

Nowym wreszcie problemem Sowieckich zamiarów jest fakt, że dotąd „zamierzano” w ogóle o zwrocie ziemi, wywłaszczonej przez Niemców na obszarze, który był wcielony do Rzeszy (Neurich) — kibiczy powracających właścicieli pozostały do'ład bez skutku. Nawet niemieckie prawo o wywłaszczeniu nie zostało uchylone. Ziemie te, jak widać, są rezerwowane — zapewne

na osadnictwo zwycięskiej armii czerwonej.

Co do lasów — upaństwowiono 85% całego obszaru lasowego w Kraju. „Właściciel” lasów stała się de facto Rosja — władze sowieckie siosują wyrab zupełny na własne swe potrzeby — nie na odbudowę.

3. Po miastach „uszcześliwiono” ogół mieszkańców, oddając domy i kamienice w bezpośredni zarząd komitetom lokatorów, równocześnie jednak unieważniono wszelkie oszczędności i zasoby pieniężne w Kraju, bo norma 500 zł. nie stanowi nawet minimum niezbędnego na doraźne potrzeby. Ceny od czasów niemieckich wzrosły dziesięciokrotnie, lecz i za nie już nie prawie dostac nie można. Równocześnie wdrożono w całym Kraju zasadę sowiecką, że „kto nie pracuje, nie je”, co przy systemie kartkowym i zubożeniu wsi skazuje na głód nie tylko starców i niezdolnych, do pracy, lecz w całego wszystkich, którzy na pracę „nie zasługują”. Mogą oni jednak liczyć na pracę — przymusowo.

4. W przemśle „uszcześliwiono” masy robotnicze przez „społecznienie” organizacji przemysłu: nad zarządem każdego zakładu (liczonego z trzech osób: dyrektora, głównego inżyniera i głównego buchaltera) postawiono „robotniczą radę zakładową”, która kieruje zakładem oraz wybiera i kontroluje zarząd. Równocześnie zorganizowano w Kraju trzypięcienne kursy, które szkolą robotników na dyrektorów wszelkiego rodzaju przedsiębiorstw. W ten oto prosty sposób „robotnik będzie rządził całym przemysłem”.

A oto jak wygląda „odbudowa i uruchomienie” przemysłu. Bez zwłoki uruchomiono rzeczywiście wszystkie te zakłady, które mogły odrazu wznowić wydobycie surowców lub produkcję — „na potrzeby wojny”, mianowicie: kopalnie węgla i rud, hutę, stalownię, szuby naftowe, zakłady przemysłu włókienniczego i garbarskiego. Wszystkie pracują wyłącznie na potrzeby wojny. Nie tej przecież, która, już się skończyła. Uruchomienie zakładów, które potrzebują dowozu surowców lub półfabrykatów, natrafia wszędzie na „nieprzezwyciężone trudności transportowe”. Nie brak jednak transportu na deportacje dziesiątków setek tysięcy ludzi i niezalanych, również na stały wywóz do Rosji zapasów węgla, drzewa innych surowców oraz cukru i tkanin z Polski. Nie brak również transportu na wywóz z Kraju polskich i niemieckich maszyn i całych instalacji fabrycznych. I to także w celu podciągnięcia mas robotniczych, — za nimi.

Dla „uprawnienia” eksploatacji — nad „zarzadami” i „radami” zakładowymi” w wszystkich kopalni i fabryk a nawet w małych warsztatach postawiono sowieckich „drwadów” — istothich dyrektorów, którzy objął o to, aby wydobycie i produkcja osiągnęły „wymiarzone w planie normy” oraz, aby dostawy szły, gdzie należy, — do Rosji i dla armii sowieckiej. Produkcja i dostawy na potrzeby Kraju rozbijają się wciąż o trudności: techniczne, transportowe i o... pobór. Wiele zakładów stoi wskutek poboru robotników, jak inne znów stoją z powodu braku opału węgla lub surowców. Takie sztucznie opuszczone zakłady uruchomienia się następnie przez obsadzenie pracownikami obecnej narodowości, zwykle inwalidami wojennymi. Stowom i tu także „kolonizacja” — dla wymieszania „radzieckiego narodu”.

5. Oficjalnie „dyktatoru proletariatu” ani zasady jednopartyjności ogłasza w Polsce też nie trzeba, bo wszystkie cztery „frakcje” składają się z zawodowych komunistów sowieckich, a nowozawarte czwóropartyjne „stronnictwo” jest wstępem do ich połączenia się dla pokazania światu „jedynowładności” „spoleczństwa polskiego”. Tymczasem PPR przejmując już własność i majątek większych zakładów i instytucji publicznych oraz spółdzielni, Całkowicie przez nią objęta jest już prasa, drukarnie oraz zapasy i wytworzenie papieru. Wiadomości z końca kwietnia donoszą o stopniowym zaprowadzeniu w Kraju ściśle sowieckiej organizacji.

6. Równocześnie rośnie terror sowiecki. Ludność, a zwłaszcza młodzież, ucieka masowo do lasów. W kwintu wojska sowieckie przesyła już do systemu krwawych „pacyfikacji” niekierów okolic — pod pozorem konieczności o tłumienia oporu srobnego, o którego zorganizowanie oskarża się Rząd Polski w Londynie.

Maj to w oczach całej obrzez rzeczywistości w Kraju i „lżyszac” równocześnie wszystko, co o swych „reformach” w Polsce głosi światu sowiecka propaganda, — zrozumieć, że Moskwa działa tak... jakby dopiero się przygotowywała do jakichś akcji na znaczenie większą skalą.

Biurowo poszukiwań

Zolnierze poszukujący swoich krewnych znajomych, którzy mogli być uwolnieni przez wojska sprzymierzone w Niemczech i krajach okupowanych, winni zwrócić się do Polskiego Czerwonego Krzyża w Londynie (Polish Red Cross - 34, Belgrave Square, London S. W. 1.) przesyłając swój adres wojskowy, nazwisko, imię i stopień oraz nazwisko, imię, datę, i miejsce urodzenia lub przypuszczalny wiek osoby poszukiwanej.

TADEUSZ ZAJĄCZKOWSKI

Pierwsza bitwa Staszka Błaszczyka

Nawała artyleryjska, która od kilkunastu minut kładła się masą ognia i żelaza na niemieckie pozycje, nagle się urwała. Powietrze przeszły ostre gwizdki dowodzą: piechota ruszyła do natarcia.

Staszek Błaszczyk, starszy strzelec w 6. drużynie 4. kompanii „Wilków” przedzierał się mierzwiem przez krzaki i zarosła, biegł, padal i pełzał zbliżając się coraz bardziej do niemieckich schronów, podobnie jak to czyniły inne Staszki, Jasie i Jaki z innych drużyn, plutonów i kompanii.

Pierwszy raz był w takim ogniu i aż zdziwił się sam sobie, że to takie proste, zwyczajne, nie straszne. Jeszcze przebiec z dziesięć kroków i dopadnie do schronu, który rozpoznał po smugach świetlnych pocisków, bijących z jego wnętrza.

Nagle obok rozlega się krzyk: „Ratujcie, ratujcie!” Staszek odwraca głowę: do wody drużyny leży za krzakami; „Co ci jest?” — „Oko, moje oko!” — jęczy drużyny. Staszek pochyla się nad nim. Lewa strona twarzy drużyny przedstawiła w tej chwili jedną krwawą miazgę... Z lewego boku broczy krew, wślakając w strzępy podarte munduru. Staszek nakłada opatrunki. „Sanitariusz! sanitariusz!” woła w nocną ciemność. „Idę!” odpowiada mu głos z dołu. A więc tutaj już wszystko w porządku. Trzeba pędzić dalej.

Zaledwie zrobił kilka skoków, gdy zatrzymuje go wołanie: „Kto idzie?” Poznał go plutonowego ze swojej kompanii. „To ja, Błaszczyk!” — „A, Staszek! Czy masz granaty?” — „Mam!” — „To fajno! Ciśnij no tu parę do tego schronu, bo nie możemy się ruszyć!”

Staszek podbiega do schronu, odbezpiecza granat, przytrzymuje chwilę, żeby nie mogli mu Niemcy odrzucić jego podarunku. — i — tomat! Po detonacji schron milnie. Następny granat jest już zbędny. Droga wolna, — można iść dalej!

Przeskakują przez szczyt wzgórza, schodzą przeciwstokiem w dół, i zalegają w krzakach, oczekując aż nasza artyleria wyduka ogień i można będzie posuwać się dalej.

Ktoś jednak musi zastąpić ranego dowódcę drużyny. Jest wprawdzie kapral Smolarek, ale on jest celowniczym przy l.k.m. W więc Błaszczyk obejmuje drużynę na swoją komendę. Artyleria przesuwa ogień do przodu. Trzeba się rozglądać za stanowiskiem dla l.k.m. i drużyny. Staszek przedzierza się przez krzaki. Za nim kapral Smolarek i dwóch strzelców. Uszli może ze 20 kroków, kiedy z dołu, dobiega ich uszy jakiś szelest i szmery. Błaszczyk daje swoim znak, żeby padli, a sam woła „Tu wilk! Kto żyje?” — W odpowiedzi biją w niego serie ze Spandau i Schmeissersów. Ostry ból przeszywa prawą nogę i Staszek pada na ziemię.

Niemiecki ogień jest bardzo silny, nie ma sposobu się podnieść. Z tyłu słychać jęki. Staszek podbiega do niego kapral Smolarek. Kapral leży za nim o jakieś 5 metrów. Trzeba zobaczyć co mu jest. Błaszczyk próbuje stanąć, ale ból w prawej nodze jest zbyt silny; iść nie da rady. Człoga się więc zaledwie zrobił parę ruchów dostając kulę w drugą nogę. Niemcy strzelają z bardzo bliska. Staszek słyszy jak przebiegają, słyszy jak zmieniają magazynki, ale nie widzi nic, tak gęste są krzaki. Rozwścieczony zaczyna strzelać ze swego Thompsona na ślep w krzaki. Na te słyszane odgłosy.

Ma to ten skutek, że Niemcy przestają strzelać, ale za to zaczynają rzucać granaty. Odłamki gwizdają nad Błaszczykiem, siekają gałęzie nad jego głowę. Nie! Tutaj długo się nie utrzyma! Zaczyna więc powoli zciągać się do tyłu. Od czasu do czasu słyszy serią z Thompsona w krzaki przed sobą.

Przestrelone nogą, drętwiejąca ból szarpie mięśnie. Nareszcie jest przy ranym kapralu. „Co ci jest, Smolarek?” — „Ale Smolarek nie odpowiada. Jęczy tylko przez zaciśnięte zęby: „Dobij mnie, dobij!” — Staszek patrzy: kapral ma jedną nogę urwaną powyżej kolana, brzuch rozpruty serią ze Spandau’a. Nie ma rady, trzeba się więc dalej po pomoc dla niego. „Słuchaj, Smolarek!” — mówi „za chwilę przyjdę jeszcze, ja zaraz zawołam sanitariusza i pędzicie dalej do tyłu.”

Te kilkadziesiąt metrów drogi trwa długo, bardzo długo... W pewnej chwili nogi zawadają o coś. Staszek się ogląda: ktoś leży. Podpęta na wysokość twarzy leżącego i poznaje kolegę, strzelca Petrykę — zabity serią Spandau’a przez pierś. Tamu już nie pomoże, ale trzeba ratować Smolaraka. Pędzicie dalej, choć w nogach ból coraz sroższy, coraz ośroższy.

Nareszcie w krzakach słychać jakiś ruch, jakiś głosy. „Ratunku!” — woła Staszek. Pochylają się nad nim znajome twarze, unoszą z ziemi ręce przyjaciół — dotarli do swojej kompanii. Sanitariusz kompanijny nakłada mu opatrunki na nogę. Na szczęście kość nigdzie nie jest naruszona. „Słuchaj, Władek!” — mówi Błaszczyk — „tam pod tą górką leży Smolarek, ciężko ranny idź do niego!” — „Smolarek?” — dziwi się sanitariusz — „to ty nie wiesz, że on już dawno zastył!”

„Ach tak! Już po nim!” — zastanawia się Staszek — „zginął Smolarek, zginął Petryk, drużynowy ranny i ja... Ie też czasu już trwa ta bitwa? Zaczęło się przed północą, teraz już jest dobrze po południu, że cierniasze godzin byłem w ogniu...” Wielkie zmęczenie i senność ogarnia Staszka. Rany szarpia i pieką. Ciało staje się ciężkie i leniwe. Leży tak bezwładnie i czeka, aż go sanitariusze zabiorą do tyłu.

Ale noszy nie widać. Za to rozpoczyna się jakiś nowy, gorączkowy ruch. „Wyszło niemieckie przeciwuderzenie!” — szyszy

trzydzieści metrów, zaszył się w zarosła. Serce mu mało nie wyskoczyło z piersi z wrażeń i z radości. Po chwili, leżąc w krzakach, usłyszał powracających Niemców. Nagle wybuchł gwar podnieconych głosów: zrozumiał, że odkryto jego ucieczkę. Słyszał, jak Niemcy przetrząsają krzaki, jak zaczęli strzelać w zbitych gąszcz zarosli. Leżał nieruchomo i czekał, co będzie. Uratowały go móżdżerki. Silny ogień położony na schrony zapędził Niemców do bunkrów. Wokół Staszka zaczęły się rwać pociski. Jakis mały odłamek i kilka kamieni ugodziły go w twarz. Otarli rękawem trochę krwi, pomalował głowę: cała! — od tego się nie umiera.

Tak w tych krzakach przeleżał do nocy. Gdy się ściemniło, ruszył dalej. Kierował się na północ w dół, nie chciał przechodzić szczytem, bo widział podczas natarcia, jak gęsto tam stały niemieckie schrony, — szukał więc innego przejścia. Był zsunął się stokiem w dół, do jaru, potem paręset metrów tym wzniesieniem i zaczął się stok nowego wzgórza, na którym siedzą już nasi! Człogał się więc i człogał, włokąc za sobą jak ślimak skorupę — ciężar bezwład-

było? Czuję zapach octu i kwaśny smak w ustach. W żołądku pali. — „Może się otrujęm?” — myśli Staszek — „ach, już wszystko jedno, nie mogę dłużej!”

Zwalił się w kację izby i zasnął.

Gdy się obudził, był już pełny dzień, słońce wysoko stało na niebie. W żołądku czuł wciąż jeszcze dość mocne bóle i palenie, ale żył. Tyłko, że był już bardzo słaby i wycieńczony z ran, głodu i uciążliwej. Zaczyna przypominać sobie, ile to czasu już się tak poniewiera? Zaraz! Tak! Już cztery dni minęło, jak go zabrali Niemcy! Patrzy z niewymownym żalem na to wzgórze, na którym powinni być nasi. Ach, gdyby te nogi były zdrowe... Ale i tak się nie poddał za nie! Nie zamrze tu, przecież, nie ma! Na oczach swoich. Trzeba tylko koniecznie znaleźć wodę. Przecie tu musi być na pewno gdzieś studnia, ci ludzie, co tu mieszka! Musieli skądś brać wodę... Zaczyna więc rządkować dookoła zabudowań. Opodal dostrzegł dwa kopczyki, ułożone z kamieni. Podpęta do nich. Nareszcie! Kopczyk kamieni otacza jasne źródło wody! Pochyla się, zdejmując hełm, czerpie nim wodę i pije, pije, pije...

Orientując się z kierunku strzałów polskich móżdżerki, których pociski zalaływały w te doliny, że musiał pełzać w prawo na wzgórze: wzgórzem tym mógł się posuwać nawet w dzień, tak silnie było ono zakrzaczone. Po długiej uciążliwej wspinaczce dotarł nareszcie na sam szczyt, do ostatniego krzaka. Rozchylił ostrożnie gałęzie i zaczął się rozglądać. Na lewo w odległości jakichś 30. kroków zobaczył schron, bardzo dobrze widoczny, bo nie zamaskowany z tej strony, na prawo schodziła w dół cała linia schronów. Były to schrony niemieckie...

Staszek z łękiem osunął się na ziemię. Znow jest na linii niemieckich schronów... Dwa dni kręci się jak w zaczarowanym kole. Czyżby ta jego męka, te wysiłki miały pójść na nic? Postanowił spróbować jeszcze raz. Dochodzi się późnej nocy i wysuszy.

Wieczorem gorączka znow podskoczyła. Rany bolały i piekały. Dokucała głód. Ale jest woda w maniere. Pociągnął parę łyków, orzeźwiło go to. Wolniutko sunie przez krzaki. Jeszcze za dnia zauważył ściek na zboczu wzgórza: postanowił pełznąć tym ściekiem. Ale odrazu musiał zrezygnować z tej wygodnej drogi: ściek był bardzo gęsto zaminowany. Człogał się krzakami, przedzierając przez splecione zarosła. Stracił już całkowicie poczucie czasu, nie pamięta, jak długo trwa ta wredówka, gdy naraz widzi przed sobą zaskiepienie koleżanki druzy. Poznał: to są zaskiepienie polskie!

Przed zaskiepieniem było pole mowe. Staszek się rozgląda, szuka jakiegoś przejścia między minami, może gdzieś upadł pocisk i wysadził kilka min. Niestety, pole jest w jakimś najlepszym porządku! Biedny Staszek nie ma wyboru. Zostaje — to znaczy w każdej chwili dostać kulę od Niemców albo od swoich. Wracać? Nie po to niepęty się tyle dni, żeby teraz dobrowolnie iść w ręce wroga... „Niech się dzieje wola Boska...” — westchnął Staszek, przeznęgnął się i ruszył na przelaj przez pole min.

„Jak przebył cały ten pas zaminowany i zaskiepi, i dlatego i tym razem ani zaczął się potykać, ani nie wyleciał na żadnej z dziesiątków min — tego nie dojdzie nikt, nie może też tego pojąć do dziś sam Staszek.”

Kiedy już zauważył, że nie ma więcej ani zaskiepi, ani min — wyzerpany zupełnie osunął się bezwładnie na ziemię. Z wrażeń i zmęczenia zemdał...

Powoli wracała przytomność. Wraz z nią dotarły do uszu gorączkowe szept. Usłyszał słowa polskie. „Strzelaj!” — ponaglał jeden głos. „Kiedy go nie widzę?” — szeptal drugi — „O, tu, tu... pod tym krzakiem na lewo...”

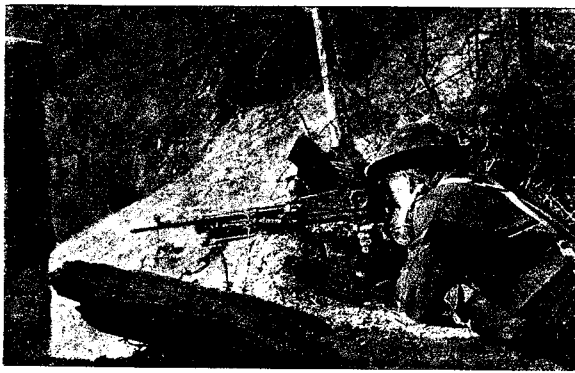
Staszek zamarł... „Chłopczy!” — zaczął szeptać późniejszemu — „nie strzelajcie! Jestem Polakiem, ranny, wracam z niewoli...”

„Wstawaj, ręce do góry...” — dobiegł go szept z naprzeciwka. — „Nie mogę, mam przestrelone nogi...” — odpowiada Staszek. — „To kłódz się twarzą do ziemi i rozkrzyżuj ręce” — usłyszał rozkaz. Pośpieszenie wtulił się w dach.

Za chwilę pochylili się nad nim jakieś postacie. — „Tak, to nasz” — postójżak głos nad sobą — „zabieracie go do lekarza...”

I znowu we świadomości Staszka tworzy się czarna kula. Znow nie pamięta nic. Kiedy się budzi, widzi mdłe światło lampki, oświetlające schron. Czuję, jak jakieś ręce odwijają zakurzoną bandaża na nogach. — „Daj mi kawy z rumem” — mówi jakiś głos.

Rozumie wtedy, że nareszcie dostaje się do swoich, że jest uratowany.



Na ubezpieczeniu

Fot. K. Hryniewicz

jak mówi obok jakiś kapral. Potem głosi się oddalają i milkną. Staszek rozumie, że został sam na ziemi niczyjej. Co ma robić? Leży bezwładny i czeka, bo wierz, że nasi zaraz wrócą. Odbija atak niemiecki i wróca. Przyjdą, zabiorą go, odniosą na punkt opatrunkowy, do szpitala... O, słychać jakis szmery w krzakach... Coś się rusza w zarosłach, gałęzie się chwieją... i nad Staszkiem pochylają się Niemcy z karabinami gotowymi do strzału.

Patrol niemiecki, który zapuścił się aż tutaj, ma już ze sobą kilku lekko rannych Polaków. Niemcy każą im wznąć na ręce bezwładnego Staszka i iść ze sobą. Tak doszli do niemieckich schronów. Tych innych jeńców odprowadzono zaraz dalej, a Staszkiowi powiedziano, że go odwiozą — może już tej nocy — do szpitala. Na razie zatrzymano go w schronie.

Przyseł officer z jakimś tłumaczem niby mówiącym po polsku i zaczęło się badanie. „Kto tu był?” — „Przedzieł widzie, że my, Polacy!” — „Tak, tak, wiem. A kto dowodził? Jakiego oddziały? Ile artylerii?” — Ale Staszek na wszystkie pytania kręci przecząco głową: „Nie rozumiem” — Officer zaczął krzyżeć. grozić, ten tłumacz też: „Jakto? przydeł mówię do ciebie po polsku!” — „Gdybyś ty mówił po polsku, to bym rozumiał, ale ty nie mówisz po polsku!” — Odpowiedział Staszek. Zresztą był przekonany, że go zaraz wykończą. Był mu już wszystko jedno... Był przedziś. Tylko pić się chciało oheronnie. Powiedział tłumacz — „podziekujej waszej artylerii: tak strzelają, że żadne dostawy dojść nie mogą!”

Z rana przyszedł sanitariusz niemiecki, poprawił opatrunki, dał trochę wody. „Może już tej nocy zabierzemy cię do szpitala!” — powiedział i poszedł. W schronie ze Staszkiem siedzieli kilku żołnierzy niemieckich. Co jakiś czas wzdychali, żeby zobaczyć swoich rannych, bo artyleria polska kładła na ich linie nawałę za nawałę. — „Spróbujcie uciec!” — myślał Staszek — „jak znowu wyjdą ucieknę!” — I kiedy około południa Niemcy zostawili go samego, zaczął wycofując się ze schronu na kolanach, podpierał się łokciami. Odpędził tak ze

nych nóg. Nie wiedział już, nie pamiętał, ile to czasu trwa... Mogło już być koło północy, gdy w tej wredówce zamajaczył mu przed oczyma niemiecki schron. Skreślił gwałtownie w lewo, odpędził kilkanaście kroków — i zamarł przed nowym schronem. Pomyślał z przerażeniem, że trafił na jakąś inną, nieznaną sobie linię niemieckich umocnień.

Człogał się jak może najciszej. Udało się! Teraz jest już poza linią bunkrów na odkrytym, niezakrzaczonym zboczu, zarosła są z prawej strony o 4-5 metrów. Z wydopłanej ziemi poznaje, że znajduje się na jakiejś szczytce, idącej równoległe do schronów. Rozumie, że musi zniknąć stąd jaknajprędzej! Widać się jak robak po ziemi, byle przudej, byle do tych krzaków! Wtem słyszy za sobą kroki i głosy...

Wyciągnął się nieruchomo, zamarł, stara się nie odychać... Z krzaków wychodzi jeden Niemiec, po tym drugi... „Zauważył, czy nie?” — Nigdy sekundy nie włożył mu się z taką przeraźliwą powolnością, nigdy serce nie łomotało tak gwałtownie w piersi. Ale nie — kroki i głosy oddalają się, milkną... Zdyszany i zgorączkowany wpęza Staszek w zbawcze zarosła.

Świt zastaje go nad brzegiem jaru. Nieopatrywane od trzech dni nogi pieką żywym ogniem, ciałem wstrząsają dreszcze gorączki, potworne pragnienie jak kleszcz-ciami dławi za gardło. Na dzień parowu widzi jakieś zabudowania. Gdybyż się do nich dostać: tam musi być woda. Ale coż — w dzień tam nie pojedzie, zbyt wielkie ryzyko, może znow trafić w ręce Niemców. Leży więc w krzakach, patrząc z utęsknieniem na domki w dole. Pragnienie jest coraz silniejsze, chwilami zdaje się być nie w stanie wytrzyma. A jednak trzeba wytrwać!

Tak, to drzemacie, to się budzać w gorączkowym, chorym półśnie doczekają Staszek do zmierzchu.

Czeka jeszcze chwilę i widząc, że ogień się skończył, rusza dalej. Człogał się, odpoczywa, sil mu już braknie, ale wytrwale dąży naprzód. Nareszcie, nareszcie dopięzł do zabudowań. Zaczyna się przesuwać. Pragnienie teraz stało się już istną torturą. Pić, pić, pić za wszelką cenę! W jednym z domków znajduje na ławie jakiś butelek. Potrząsa nią — coś bulgocze. Bez namysłu przytęka do ust i pije, pije... Co to

Oczyszczenie terenu

Białą flagę widzą i oddziały na 593 i te, które właśnie weszły na 596.

Podniecenie ogarnia oddziały i szlaby.

O g. 07,55, równocześnie z urzędowym potwierdzeniem dowódcy 3-go baonu, że wszedł na 593, przychodzi wiadomość, że angielska 1. Brygada Gwardii ze swoich pozycji w mieście Monte Cassino poczynna wchodzić na stoki Klasztoru od południa i od wschodu.

Jakto? Do „naszego” Klasztoru?

Poczyną się gorączkowo liczenie.

— Jak daleko mają Anglicy?

Są na 193. Muszą zejść z góry na poziom miasta, t. zn. około 100 metrów i potem 400 metrów się drapać na Klasztor, położony na wysokości 516 metrów.

— A my?

— A my — musimy zejść z 596 na 569, z 569 na 475...

— To ciągle schodzenie...

— Nie ma innej rady. Z 475 musimy zejść na 444, z 444 na...

— Jeszcze w dół?

— Z 444 już pojedą nasi w górę — na 480 i stamtąd — na 516 — na Klasztor.

— To ile razem metrów do przejścia?

— 1500.

— A Anglicy?

— 1200.

— Psiakrot! Oni lubią wszelakie competitions. Już się pewno drapią.

Lornetki nie odrywają się od Góry Klasztornej; coraz częściej zamgłone oko sygnalizuje, że już widzi Union Jack. Coraz to ktoś robi wrzask, że jak wiatr powiał, to się odwinął na chwilę czerwony kolor.

Ale to mająta się ciągle owa biała szmata (o ile tam rzeczywiście była).

I, naturalnie, już płynię kochana Dzika Lipa. Jest to rzeka, odgrywająca w bitwie o Monte Cassino nie mniejszą rolę, niż rzeki Rapido i Liri.

Mianowicie — z 1. Brygady Gwardii donoszą, że w Klasztorze są i znajdują około 500 Niemców, którzy oczekują na poddanie się.

Naturalnie — na Klasztor kopnęli się, przede wszystkim, utani. Było im najbliżej, najporewznej i nie chcieli obiektów pośrednich do zajmowania i kontrolowania, jak bataliony piechoty.

Patrol 3 szwadronu tak śpieszył, że przeszedł, nie spostrzegając Niemców, koło dużego bunkru. Dwunastu tam siedzących Niemców oddziału przesłanowego, mającego ubezpieczać odwrót, zobaczywszy przez szczelną orzłki, wołało się nie zdradzać. Wszyscy oni miarkowali trafić do niewoli do Anglików. Dopiero patrol 2 szwadronu ich powyciągał. W swoich maskowniczych w łaty kombinizonach wyglądali jak jakieś wielkie brązowo-zielone jaszczurki wyciągane ze szelony skalnej. Od dwu dni nie mieli wody. Wymizerywany feldfibel, ich dowódca, z paroltygodniowym zarostem na bladej twarzy, po której biegają nerwowe łiki, stanął przy przed dowódcą szwadronu, powitał go orzłkiem:

— O verfluchtes Krieg!

Jego przeciwnik z pozycji na vis a vis, por. Dziekowski, autor smętnych meldunków o dwutygodniowych brodach ułańskich, mógł być, akurat w tej chwili, innego zdania: patrol jego szwadronu już wkroczył do Klasztoru.

Tymczasem dotem poszły szerokim wachlarzem patrole z kilku batalionów piechoty.

Ppor. Biłski z 3. kompanii 5. batalionu, pierwszy trafił ze swym patrolem na patrol angielski, który już był nabrzmiały od jeńców.

— Od was tak zmykali — krzyczą tom mics, którzy również są w różowych humorach. Obustronny entuzjazm, obdziclanie się papierosami i konserwami. Jeńcy trzęsą się z przerażenia, proszą, żeby ich nie wydawać Polakom.

S. p. por. Leśniak, dowódca plutonu rozpoznawczego 4-go pułku, ten, który w ramiona złapał trafionego w serce ppor. Fanslawa, wiadomość dowódcy batalionu i komendanta Klasztoru, kpt. Beyera. Ponieważ kurowała powszechna plotka, że por. Leśniak kazał się Niemcowi prowadzić przez pole minowe, a por. Leśniak polecił, więc stwierdzam, że to co tu podaję wzięłem z jego ust zaraz po bitwie.

Por. Leśniak wyprawił się samotrzeć z

MELCHIOR WAŃKOWICZ

kapralem i żołnierzem. Szli przekontrolować punkty oporu na 445 i 430. Pole minowe, odgradzające te punkty oporu, wynosiło na szerokość około 100 metrów, w głąb około 300 — złożone z min „T” z zapalnikami naciśkowymi i zrywowymi oraz z min „S” i „Sch”. (S ch u h — m i n e n — tzw. „potykacz” urywające nogę).

Szli więc ostrożnie, tym bardziej, że liczyć się należało z możliwością odpalenia pola minowego ze schronu (jak tego dowiedział dnia wczorajszego pluton por. Leśniaka przy ataku na 593).

W pewnej chwili kapral krzyknął:

— Panie poruczniku, tam się coś rusza w środku.

Zawołał „raus”, ale schron milczał. Kapral przeciągnął po nim serią tomigana. W schronie poczęło wolać po angielsku.



Gen. Wł. Anders podczas bitwy pod Monte Cassino

Fot. F. Molinik

— Stój, człowieku! — krzyknął ppor. Leśniak na kaprała, ale już ten pociągnął serijkę po raz drugi.

— Kiedy to pownikiem Niemcy, panie poruczniku. Ja ich tylko chcę oduczyć gadać po angielsku.

Istotnie, z hunkra wyszło 11-tu spadochroniarzy z kpt. Beyerm na czele. Należało zaniechać zadania i odprowadzić to bractwo. Pochód otwierał kapral — temiganem, potem szli gęsto Niemcy i na końcu porucznik i strzelec.

Powtórzyła się historia, jak to ś. p. płk. Jastrzębskim i jego adiutantem, który poprzedzał. Kapral przeszedł, a idący za nim kpt. Beyer i jeszcze jeden Niemiec wylecieli na mimie. Wszystko rozpieczęło się. Por. Leśniak krzyknął ostro, żeby stali na miejscach i wszystko stanąć. Rzuceni w bok od osi marszu, leżeli kpt. Beyer i żołnierze niemiecki z pourwanymi nogami.

Por. Leśniak wezwał jeńców, aby podnieśli rannych, ale ochotnika nie było. Widąc wtędzich, jak gestu jest minowany teren na boki od szczytów. Wówczas porucznik wyznaczył czterech, znowu wybuch! Potykacz, wszyscy czterej zostali mniej lub więcej ranni. W ten sposób pozostało 5 Niemców i 3 Polaków częściowo znieśli, częściowo sprawdziło sześciu rannych. W drodze jeszcze musieli na jakiś czas zaniechać dźwigania, aby przeczekać krótką serię artyleryjską.

Jeńców prowadzą i inni. Druga kompania 4. baonu prowadzi pętnastu. Idą gęsto, ściągają pełną trupiego zaduchu, wymijając trupy, pozostawione na niej przez sanitariuszy, którzy nagłe orientowali się, że nie ma co dźwigać. Jeńcy idą gęsto z rękoma na karkach.

— Po co to komu potrzebne — mówię. Przede mną stoi oficer łącznikowy z misją angielską. Oficerowie łącznikowi angielscy bywają bojowi, ale bywają i misyjni. Oficer mówi po polsku.

— Tak jest — zwraca się do mnie z ożywieniem — ja też to powiadam: po co to żywcem brać...

— Ależ ja mówię że niepotrzebnie im każą ręce na plecy zakładać — powiadam. Oficerowie misyjni bardzo są nam życzliwi, bardzo podziwiają nasze poglądy, noszą nasze orzłki. No trudno — nie trafił.

W DNIU ZAJĘĆ

Prowadzą następną grupę jeńców. Ci już nie mają rąk na karku. Żołnierz przedemną schyla się po kamień. Powstrzymany za rękę, ma twarz czarna i złą; jest w nim jeszcze skrecona sprężyna ataku, kiedy ten werk wyjdzie i nie będzie znowu podkręcał, ten sam żołnierz będzie jeńcom oddawał ostatnie papierosy.

Mieła czego ręka sięgać po kamień. Z góry na dół niosą sznur rannych. Z twarzy tych ciężko rannych wycięnięto wszystko, co ziemskie. Twarz została uporzędowana, jak izba przed wniesieniem się nowego gospodarza. Jak tam ściany ordarte z czasowych dywaników zaskakują surowością pierwotnej konstrukcji, tak i te twarze, zbyte śmiechu, młotliwości, pożądania, smutku i radości, zbyte bólu nawet — widnieją surowym sklepieniem czoł, wżyzaniem szczyk, zarzysem nosa, wpadłem szkodotów.

Na Klasztor przeszedł już patrol saperki, rozbrajający teren i tasnujący ścieżkę, ale inną drogą. Przede mną jeszcze — doszedł ową właśnie patrol ułański z trzynastu ułanów pod dowództwem ppor. Gurbieła. Szli jak słońce na butelkach w cyrku — dotami po wybuchach pociskach i głazami, na których widać było, że min nie ma. W klasztorze w podwórzu powitał ich święty bez głowy i uroczyście cisza. W kwadrans wszedł następny patrol 1. szwadronu z 18 ułanów pod dowództwem por. Hrynkiwicza. O g. 10 m. 40 strzelili czerwona rakietą — na znak. Zaraz potem, zdaje się z Albanety, pojawił się z nieodłącznym pudłem Pitrem pułk. Bobiński. Ułani zatknęli swój poręczek, na co się irytowała piechota — „nam tu każą pałować, po minach łazić, szwabów z bunkrów wyciągać, a ulany polecały i zakładają poręczek. Na to oni pierwsze chójraki — poręczek zatknąć. Coż to, oni zdobyli Klasztor, czy piechota?”

Zreszta, gdyby się chciało określić, jaka mianowicie piechota, to by się też nie doszło do jadu. Nie tylko każda z dywizji była przekonana, że odegrała decydującą rolę, ale każdy batalion. I do pewnego stopnia nie tylko obie dywizje, ale każdy batalion miał rację: wobec poważania o gni, szumienie jednego punktu oporu decydowało o upadku innych.

To też sformułowałem sobie teorię, którą wyłożyłem mjr. Somchjanowi w nieco uproszczony sposób:

— Co należało zrobić, aby pobić Niemców?

— Inwazję.

— Co należało uczynić, aby umożliwić inwazję.

— Otworzyć drogę do Włoch Północnych, z których można bombardować skutecznie przemysł wojenny w Austrii. A więc zdobyć Cassino.

— Co należało zrobić, aby zdobyć Cassino?

— Unieszkodliwić 593.

— Kto zdobył 593?

— 4 batalion.

— Kto dowodził batalionem po śmierci ppor. Fanslawa?

— Major Melik Somchjan.

— Kto więc wygrał wojnę światową?

Zdaje się — jasno.

I jasno jest, że poręczek 12 Pułku Ułanów Podolskich zawiął pierwszy na Klasztorze, na który od miesięcy były

W zdobytym klasztorze

Z 569 zejście nie jest pozbawione emocji.

DWA W DOBIECIE WĄWOZU POD SAMO-SIERRA

Z jakim łoskotem w alpejskie nadbrzeża

Wód oceanu potęga uderza,

Tak szli do szturmów Frankowie wczualni;

Lecz trzykroć biegli i trzykroć wracali.

Jak niedostępne niebo dla bogaczy,

Tak była trudna dla męcznych ta droga;

Proźne wysiłki męstwa i rozpacz,

Najmniejsze dusze śmierci spychała sroga...

Wtenczas bohater co wiódł nasze męce,

Przybiegł gdzie polskie skłiniły się orzęce:

W cichym milczeniu zwarte hufce stały,

Gdy on do wielkiej tak zachęcał chwaty.

„Wy co z waszemi znajome szeregami

Egiptu piaski, Apeninu śniegi,

Ty ze lwim sercem młodzieży nietrwożna

Wam to zwyciężać gdzie innym nie można!”

Rzeki — huczą trąby, ostrz mieczów się świeci

Przez grad kartaczów las porożców leci,

Grzmi grom po gronie i razem ustają:

Na wierzchu szalców usiadł orzeł biały.

A Górecki

A. Górecki, żołnierz-poeta, uczestnik natarcia na Samo-Sierra.

KLASZTORU

zwrócone oczy świata. I dlatego pewno lornetkowiczom, nastawionym na to, czy pierwsza na Klasztorze ukaże się flaga nasza, czy angielska, troił się przed oczyma Union Jack, który był — ułaskim proporzyciem.

Ułani pobobrowali, znaleźli w piwnicach trzech rannych spadochroniarzy opatrzonych przez wycofujących się kolegów, pobrali jakichś księgiek a pamiętek, nie nie znaleźli do jedzenia *) i poszli. Odeszli sapersy trasować nowe ścieżki. Odeszli ogień armatni, chodzący na szerokiej polaci od Albanety aż pod obie Miski. Na zbroczach 593 i 569 gnieźdzą stanowiska, no-woprzybyłe oddziały. Poraniony, do tła zniszczony, po raz czwarty w dziejach, Klasztor, czekał na rozpoczęcie nowej dziejowej karty. Odpoczywając w trupim lesie — dębów-symboli nad zatepniętą wodą leją-w w jakimś Boeklinowskim krajobrazie, czulem silne wzruszenie na myśl, że asy-tując chwilę, kiedy skończył się jeden, zacze-nie się drugi, może kilkowiekowy — o-kres.

Tak było, kiedy w VI wieku do tła ten Klasztor zburiyli Longobardzi.

Tak było, kiedy w IX wieku ponownie go zrównali z ziemią Saraceni, zaproszeni przez zdradzieckiego chrześcijańskiego pana, Docibila, księcia Gaety.

Tak było, kiedy, ledwo odbudowujący się Klasztor splonął całkowicie w 896 r., a wraz z nim splonął oryginalny reguły św. Benedykta.

Tak było, kiedy po trzęsieniu ziemi w 1349 zostały tylko gruzy.

Alc przecież od tej daty, przez pięć z górą stuleci trwał, aż nasza pod nim sta-nęła noga.

Na górze, kędy stała świątynia Apollina i Wenery, nad Rzymską Via Cassi-lina, którą od zamierzchłych czasów szły ludy, mając z jednej strony na zachód o pół mili stary amfiteatr z drugiej strony, tam gdzie terraz tor kolejowy — wille Terencjusz Varrona, w której ongiś

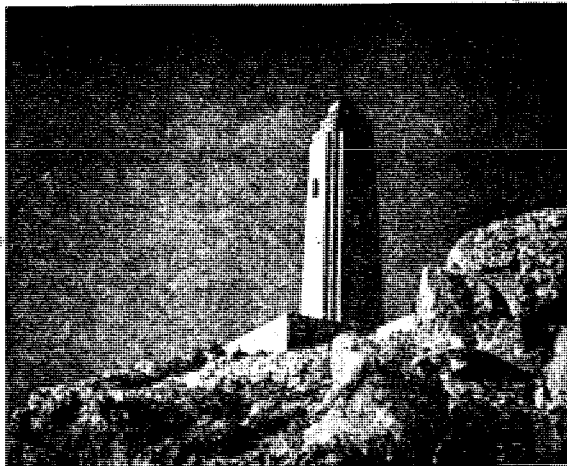
odprawiał swe orgie Marek Antoniusz — w 529 roku założył swój klasztor pustelnik z Subiaco, św. Benedykt.

Była to epoka, jaka teraz będzie za lat 25. To znaczy — powstawanie nowego porządku rzeczy z chaosu.

Gdzie byli obrońcy? W piwnicach, jak krety. Po zejściu w dół widzi się jakiś dawny pewno próg, tu pewno była zawałowa posiadka. Trzeba by skakać ze dwa metry w dół, gdyby pod ten dawny próg nie podpiłynta rzeka usypiska i pustych puszek po konserwach. Już tu szli ulani — jakoś nie widąc innej drogi w podziemia — nie ma się co bać. Chrystem pu-zek w półciemni idzie się w dół. Tam już pełno gości z jakichś nieokreślonych od-działów: bobrujących po pustych izbach,

liwnymi — pomieszane z blaszankami konserw, pasami żołnierskimi, łuskami od nabojev. W jakiejś rozście kaplicy jakiś fragment chóru. Pызate putt i (aniołki) pozywane. Dowiedziałem się potem, że poszły na upiększenie kasyna oficerskiego gdzieś na tyłach.

W sypialniach Ojów na leżach umościłi sobie spadochroniarze leża z ornatów. Wszy ich żarły na złotogłowiach. W skry-niach dębowych, wpuszczonych w boaze-rie pod ścianami, poszukiwaczy skarbów spolyka zawód: złożone są w nich trupy ostatnich poległych, których nie zdążyli pochować. Ktoś cheiwie sięga po ogromny alpinistyczny plecak: na Widmie był wy-padek, że ze schronu uciekał Niemiec z takim plecakiem; padł ustrzelony, a z ple-caka spłyły się cukierki i czekolada —



Pomnik żołnierzy Dywizji Strzelców Karpackich poległych na Monte Cassino

które, zdaje się, były sypialniami mni-choń.

Wszędzie szczątki liturgiczne, fragmen-ty rzeb, póságów, obrazów, ornatów, em-blemów chrześcijańskich — baranków, o-czu Opatrzności, gołąbków z różdżkami o-

chcieli wywakuować co można z podręcz-nego składu.

Alc poszukiwacz cofa się gwałtownie: w plecak są upchnięte pokrwawione szczątki ludzkie.

Na ścianie wylaniającej się z wnętrza, na której pada światło wybitnym otworem, hieratyczne anioły nadnaturalnej wielko-ści, malowane al fresco późną bizan-tyjską modą, wznoszą się nudo i świę-tobliwie.

Aby nie było wątpliwości, pod jednym aniołem podpisano: Amor Dei (miłość Boga), pod drugim: Charitas (mił-o-sierdzie), pod trzecim: Humilitas (Pokora)

I miłość Boga i Miłosierdzie i Pokora są pckancerowane, a innych cnót wymal-o-wanych na ścianie nawet nie odczytasz. Na to wszystko z niesłychanym poczuciem wyższości patrzy wymalowany również na ścianie wielki szwab-spadochroniarz rzakrzony na Górze Klasztornej. Jeden but jego jest tak wielki, jak cały deptyny Klasztor. U dołu góry gruby Churchill pracwicie bnie przez morze, ciągnąc, jak Gulliver, swoje lilipucie okręty.

Zostawiłbym ten malunek niemiecki jako signum. I między nim a tymi do-tyroczynnymi, poutraczonymi cnotami, wymalowanymi na ścianie gotykiem, bene-dyktowskich inkunabułów, ten ustęp z roz-działa „o milczeniu” w Regule św. Benedykta:

„Założyłem straż ustom moim, zaniemiałem i poniżony jestem i zamilczałem dobre-gó”.

W dali migocze mdłe światelko. Swia-tekto jest równe — tak nie świeci latarka elektryczna. Lampka przed świętym o-brazkiem?

Posuwam się w półciemności. Sklepienia tu narastają wielometrową grubością, łuki ciężkie i niskie noszą na sobie cały gmach klasztorny. We wnętrze pod jakąś resztką cłarza zapalone dwie świece woskowe, błyszczą złoto ornatów. Czy może dotarł już któryś z naszych kapelanów z kamie-niem mszalnym i Hostią, czyżby w tych splugawionych katakumbach można było odprawiać bezkrwawą ofiarę?

Alc ofiara jest krwawa. To trzej ranni spadochroniarze leżą na złotogłowiach or-

natów. Odchodzący koledy postawili przy nich chleb, wodę, konserwy — jak do gro-bowców kładziono przy zmarłych na dro-gę na drugi brzeg Styksu owiane placki i pieniżek dia Charona. Pieniżki jednak dla Charona, odprowadzającego do kłatki dia jeńców, t. zn. zegarki, mają na rękach. Ułani, którzy tu byli, nie trudnią się ob-dzieraniem rannych.

— Nie mam nie trzeba?

Z ornatów patrzą białe zshysteryzowane twarze trzech młodych chłopców o podzi-nych germańskich głowach, o wąskich cy-nicznych ustach. Kiedy wchodzi ktoś no-wy, rzucają krótkie niespokojne rozpo-znawcze spojrenie.

— Nie, mamy wszystko. Patrol, który nas znalazł, dał nam papierosów i obiecał przysłać noszowych.

Rozglądam się — podnoszę numer „Muenchener Ill. Zeitung”. Tytuł reportażu wielkimi literami woła: „Cassino — Heldenlied Deutschen Soldatentums” (Cassino, pieśń bohaterstwa niemieckiego żołnierza).

Kupa rozkazów dziennych. Zajmie się nimi Dwójka. Długie szeregi nakazów, zaka-zów, drobiazgowego administrowania woj-ną:

6-d. BESEITIGUNG DES WORTES „KATASTROPHE” — Gem. Weisung des Reich-minister fuer Volkserkla-rung soll das Wort Kata-stropheneinsatz durch Lu-ikriegsersatz ersetzt (usuńcie słowo „katastrofa”; stosownie do rozporządzenia Ministra Oś-wiaty, słowo zniszczenie powinno być zamienione przez określenie: stan wywoła-ny wojną lotniczą.)

7-b. POSTVERKEHR

Es ist verboten:

a) In Paekchen Zund-holzer zu verpacken (nie można rodzinom z frontu przysłać zapa-tek).

b) Reichsgeld aus Deutsch-land anzunfordern (żądać przysy-lania z domu waluty niemieckiej).

c) Lause wegen der damit verbundenen Fleckfieber-gefahr in Brief nach Hause zu schicken. („Wsy nie wkładać do listów przesyłanych do rodzin, bo to grozi zanieśmieniem tyfusu plamistego”). Naturalnie chodziło nie tyle o zapobieżenie przesyłania bakterij tyfusowych, ile depres-yjnych (p.m.).

Alc nie tylko skromne podarunki żoł-nierskie w postaci zapałek i Liebesan-denken w postaci wszy szły do Niem-ciec. W rozkazie z dnia 24 kwietnia gen. Heydrich zdaje sprawozdanie z delegacji, którą wysłał do Marszałka Reichu, Goeringa z podziękowaniem za liście dębowe i miecze do jego Krzyża Żelaznego. Dele-gacja zawiozła i stąd prezent dla hupię-cy całej Europy: cenną figurę z ołtarza w Klasztorze Monte Cassino. Przemawiając do delegacji Goering oś-wiadczył, że „jest dumny z dywizji, naj-llepszej z niemieckich i najlepszej w świcie”.

Marszałek nie wiedział owego dnia, że przemawia na cześć żołnierza polskiego. Jak nie wiedział gen. Dietrich, przema-wiając przez radio 28 marca 1944 r., po odparciu wszystkich trzech natarć alian-ckich:

„Jeśli Cassino jest godne imienia włoskich Termopil, to porównanie to tyczy tylko morale jego obrońców, ale nie sięga dalej”.

A przecież — padły niemieckie Termo-pile.

Nowe książki z „Biblioteki Orła Białego”

Nurt — Waclaw Berent — Rzym 1945 — cena egz. 100 lirów.

O powołaniu naszego pokole-nia — Andrzej Brzoz — cena za egz. 10 lirów.

Wojna sowiecko-niemiecka 1941-1945 — Ryszard Wraga — 65 lir.

Cele wojenne Polski — Adam Pragier — cena za egz. 75 lirów.

O rewolucji — Ryszard Wraga — cena za egz. 40 lirów.

Artykuły zebrane — Adolf Bocheński — Cena 50 lirów.

Zołnierz z Montecassino — inż. W Ostrowski — cena 220 lirów.

Czerwone diabły pod Arn-hem — Marek Święcicki — cena za egz. 60 lirów.

150-lecie rzezi Pragi — Mie-cyślaw Grydzewski — cena za egz. 10 lirów.

Pamiętniki Murawiewa — Hum. z oryginału rosyjskiego — cena 55 lirów.

*) W Klasztorze znalazłem w jednym z porzuconych niemieckich pism karykaturę zafrosowanego żołnierza angielskiego, który mówi:

— Wo zu haben wir diesen verfluchten Platz befreit, wenn es hier nichts zu essen gibt? („Czegośm oswoobiliście tę dziurę, w której nie ma nic do jedzenia?”)

PIERSZE

Fragment

Skok i przypad do ziemi. Huk i błysk... błysk i huk.

Dlaczego Janek tak jęczy?

Przestań!

Boże! Janek! Janku... Już nie słyszysz.

Huk i błysk, błysk i huk znowu.

Smieszny ten trup spalony z oderwaną głową

Taki gruby i czarny... — Uwaga, uwaga!

Podciągnąć się do muru! Bliżej!

Przed tobą spandau uparcie wybija dziury w żwirze.

Tu artyleria nie strzela. Tu już nie biją moździerz.

Tylko na dawne trupy kładą się ciała świeże.

Pełniesz przez mur zwalony. Uważaj! Są w dole...

Podciągnij się na łokciach. Granatem!

Już kolej...

W ten pień zwalony drzewa różni srip!

Tam, w lewo!

Ruchy szybsze od myśli. — Uważaj! Z prawej strony...

Pot ci oczy zalewa. Jaki ten pot czerwony...

Jak dzwinnie, czy zdźwignę nie możesz tempsona?

Ciążka?... Jesteś zmęczony?...

Kiedy ci krew stygnąca zalewa oczy zamglone

Teraz, dopiero teraz, kolego, jesteś zmęczony.

Tomasz Dobrowolski

T. Dobrowolski, żołnierz-poeta, uczestnik natarcia na 593.

WALERIAN CHARKIEWICZ

U kolebki „Orła Białego”

W związku z ukazaniem się niedawnego 150 numeru „Orła Białego” otrzymaliśmy niniejsze uwagi:

Każdy nowy „jubileusz” „Orła Białego” (choćby pobawiony uroczystego akcentu, jak obecny, związany z przekroczeniem 150 numerów) coraz wyraźniej zarysowuje wielką rolę pięknego żołnierskiego czasu pisma, coraz silniej podkreśla wartość jego dorobku i coraz bardziej oddala okres narodzin. Dziś tylko parę zaledwie osób pamięta w jakich warunkach i kiedy zaczęto myśleć o powstaniu „Orła Białego”. Wiadomości te, rzecz jasna, nie stanowią rewelacji historycznej, zasługują jednak na przypomnienie w gronie przyjaciół pisma, szczególnie w dniu nowego jubileuszu.

Pierwszy numer gazety „Orzeł Biały” ukazał się w Buzuluuku 7 grudnia 1941 roku. Nie w tym dniu zrodziła się koncepcja „Orła Białego” — myśli o nim powstała znacznie wcześniej, bo w sierpniu 1941 roku, kiedy zdecydowano o jego istnieniu, nadano mu imię, mianowała redaktora i dobrano pierwsze grono ścisłych współpracowników.

Kolebka „Orła” znajdowała się nie na szczytach nadobocznycych gór, lecz na pustkowiu smutnej doliny północnej Rosji, — nie w dumnym, nieodjeźdźdźalnym gmachu orlim, lecz za drutami jeńckiego obozu. W Griażowcu to się stało — w obozie jeńców polskich, na ruinach niegdyś słynnego w Rosji klasztoru, którego rozgłos był tak wielki, za nawet geografowie niemieccy, woscy, francuscy i holenderscy już w XVII wieku uwzględniali na swych mapach „Gresnewitz”, „Grasowetz” i t. p.

Griażowiec był przedziwnym rezerwatem jeńców polskich. Tu się zgromadziły niedobitki z Koziełska, Starobielska i Ostaszkowa, tu się znalazła gromadka intelektualistów podchorążacych, jacyś cywile, bandyci z więzienia świętokrzyskiego — słowem, zupełnie nieprawdopodobna mieszanina stopni, wieku, intelektów, zasług i zbrodni... Razem około 400 osób. W pierwszych dniach lipca 1941 roku do Griażowca wpakowano cągi oboz Koziełski i dwa (determinacji z Litwy i Łotwy, przeważnie oficerowie) — przejściowo, drodze na północ, dokąd mianowicie, nikt nie wiedział. Jak się później okazało, dwie grupy politycznych z Koziełska wywieziono na półwysp Kola, na budowę Iotniska. Oficerowie mieli jakikolwiek inne przeznaczenie, jak się zdaje, ale w Griażowcu zatrzymano ich aż do zwolnienia po t. zw. amnestii.

Rozwiązanie się wypadki polityczne uratowały wszystkich griażowców — autochtonów i przybyszów, — kosztowały jednak spór nerwów i zdrowia. Dezorientacja panowała kompletna, plotki, puszczane przez bolszewików i przez obozowych polityków i prórków, wprowadzały zamęt, — dzielnicy optymizm łączył się ze starczą mądrością zawodowych pamkarzy. W tych warunkach stało się koniecznością zorganizowanie życia w komóreczki, klóbracy spokojnie rozważała w sposób fantastyki na przyszłość, choćby w formie uzasadnionych hipotez. Te wnioski i komentarze miały rozchodzić się po obozie, aby wytworzyć jednolitą opinię i przeciwstawić się celowo balaunnej propagandzie bolszewickiej.

Tak powstał „Klub Szarego Koca”. Z liczącej obozu „wajemniczonych” wyłonili się grupka „dyskutanów”, którzy omawiali bieżące zagadnienia, leżące na łapie, na oczach wszystkich, aby zmylić czujność liczących szpiegów. Do tej grupki należeli: ppłk. Zygmunt Szafranowski, właściciel szarego koca, na którym się leżało i od którego powstała nazwa „klubu”, prof. Wacław Komarnicki, dr. Zygmunt Doellinger i niżej podpisany. Dzieje „Klubu Szarego Koca” były krótkie, lecz miały akcent dramatu, bo 21 lipca bolszewicy porwali i wywieźli do obozów oficerów (dobrych, jak zwykło, w sposób fantastyczny), wśród których znalazło się dwóch „szarokocowców” — ppłk. Szafranowski i dr. Doellinger. Należało zwiększyć ostrość, tym bardziej, że wywiad ustalił, iż bolszewicy mają listę kandydatów na wywiezienie w ilości trzydziestu paru oficerów i że na tej liście, m. in. figuruje moje nazwisko.

Na miejsce wywiezionych członków „klubu” weszli ppłk. dypł. Stanisław Krogulski i ks. dr. Kamil Kantak.

Zawarcie umowy polsko-sowieckiej wyraźnie zarysowało możliwości, a nawet konieczność powstania w ZSSR odrębnej polskiej armii (czwornej) i pod dowództwem sowieckich oficerów, jak sugerowały agencje NKWD). Płk. Krogulski nastawił pracę „klubu” na tory praktyczne, a mianowicie zachęcił do przemysłowego i obronowego organizacji przyszłej armii. Tym właściwie zlikwidował Klub Szarego Koca. Sam z grupą oficerów zsta-

bowych zajął się zagadnieniami organizacyjnymi i wyższych jednostek, mnie zaś powierzył opracowanie schematu organizacyjnego działu kulturalno-oświatowego.

Dlaczego mnie mianowicie? Na to pytmój „fach” wojenny stał się przyczyną

tanie odpowiedź jest łatwa, gdyż byłem jedynym „specjalistą” od tych spraw, a to z racji swego przydziału wojennego w r. 1939 w charakterze referenta Opieki nad Żołnierzem garnizonu wileńskiego. Ten

małego zamętu: gdy Komisja Poborowa w Griażowcu zaczęła rejestrować żołnierzy w celu przyjęcia ich do Pol. Sił Zbr. w ZSSR, nie widziiano, do jakiej grupy zaliczyć mnie, jako oświatowca: ani to broni, ani służba. Po krótkiej naradzie oficerowie P. K. U., prowadzący rejestrację, postanowili wpisać mnie do grupy... intendentów. Jako intendent uwiecznłem się w spisach oficerów, przyjętych do wojska w Griażowcu. Ale to wszystko znow w nawiasie.

Inicjatywa płk. Krogulskiego spotkała się w gronie „cywilów” w mundurach z uznaniem, ale i z pewnym wahaniem, którego źródłem była wątpliwość, co do celowości takiej pracy. Gdy jednak po dyskusji w pokoju „profesorów” i po naradach z szefem kolegowo uznano celowość pracy, przystąpiono do opracowania najpierw ogólnego zarysu, potem szczegółów, a wreszcie zrobiono nawet obsadę personalną. Byliśmy przekonani, że stanowią jedną działającą część oficerów-jeńców w ZSSR, ale uważaliśmy, że ustalenie kandydatów na stanowiska kierownicze zawsze może się przydać, choćby tylko w celu ułatwienia Orientacji. Zresztą, jak świadczą przechowane z tamtych czasów notatki i szkice, w projektowanym zespole uwzględniono dwóch starobieliszczan: por. Lecha Górskiego i ppłr. Jerzego Wierzbickiego.

Tak się zrodziło w Griażowcu „Szefostwo Informacji i Propagandy”, składające się z sześciu referatów, redakcji dziennika, dwu fachowych pracowni i sekretariatu. Na samym początku wyznaczony był ppłr. Cława Komarnickiego, najmłodszego stopniem, bo podporucznika, ale ważkiego swym tytułem profesora zwyczajnego Uniwersytetu Stefana Batorego.

Sprawa dziennika, a raczej wydawnictwo propagandowo-oświatowych oraz informacyjnych wywołała najwięcej dyskusji, gdyż trzeba było pogodzić olbrzymią potrzebę wszelkiego rodzaju słowa drukowanego z przewidywanymi trudnościami i bardziej niż ograniczonymi możliwościami.

Żądaliśmy w swych projektach do uruchomienia dziennika, który by zawierał część oficjalną (rozkazy, zarządzenia, komunikaty Diwa), szeroko rozbudowany dział „informacji, ogarniającej cały świat, no i, rzecz jasna, dział literacko-publicystyczny. Zdaję sobie sprawę z trudności uruchomienia dziennika, przewidywaliśmy ograniczenie się w pierwszym okresie tygodnika, uzupełnianego rocznie innymi komunikatami radiowymi, — ale w przyszłości widzieliśmy nie tylko dziennik, dla i wieloseryjne wydawnictwo książkowe. To wszystko wymagało większego zespołu pracowników i dobrej ręki kierowniczej. W zasadzie należało na wszystkie komórki propagandy obwiazek ścisłej współpracy — to też niemal w każdej tkwiło jakieś „pióro”, nieraz mające niemałą „wagę” i całkiem dobre „imie”. Na redaktora dziennika upatrzyliśmy sobie ks. prof. dr. Kamila Kantaka, którego do pomocy dodano pchor. Władysława Cichego.

Dążenie do dokładnego opracowania wszystkich szczegółów zachęciło nas do szukania tytułu dziennika. Podaliśmy czterdzieści tytułów do dyskusji — z żadnym z nich sam nie byłbym w stanie określić, że nie zdobyłby jedynomyślnie aprobaty. Przez pewien czas w naszych projektach figurowało anonimowy „dziennik”, ale któregoś dnia prof. Komarnicki zaprojektował: — Nazwijmy go — „Orzeł Biały”.

Przeciwstawiałem się temu z całą energią, bo widziałem w tym tytule sztywność, a nawet pewnego rodzaju megalomanię: — Taki tytuł dobry jest dla organu rząd państwowy, ale nie armii...

Prof. Komarnicki użył argumentu przekonującego: — „Orzeł Biały” jest nie tylko godłem państwowym ale i oznaką żołnierską. A jak jest u bolszewików? Są „Izwiestia”, jest „Pravda”, ale organem armii: czerwonej jest „Czerwona Gwiazda”. Ich wojsko idzie pod znakiem czerwonej gwiazdy, my — pod znakiem Orła Białego. Ich organ wojskowy nazywa się „Czerwona Gwiazda” — dlaczego nasz nie może być „Orzeł Biały”? Wydaje mi się, że nie tylko może, ale powinien.

Tak się zrodził „Orzeł Biały” organ Wojska Polskiego na Wschodzie. Gdy w ostatnich dniach sierpnia 1941 roku zostałem z grupą oficerów wezwany do Mołwy w celu zreferowania Dowódcy PSZR. w ZSSR projektu organizacji działu propagandy i oświaty w wojsku, byłem zaskoczony wiadomością, że po za grupą griażowiecką oficerów więcej nie ma Plan griażowiecki nabrał tym większego znaczenia. W obsadzie jednak musiały zostać zmiany, gdyż prof. Komarnicki został wezwany do Londynu, a ks. Kantak miał, ze względu (Dokończenie na str. 9.)



BEŁVJ ORIOŁ — ORGAN POLSKOJ ARMII W S. S. R.
Rok I, 76 1 Niedziela, 7 grudnia 1941 r. Cena 50 kop

ROZKAZ № 6

Z O L N I E R Z E !

W dniu dzisiejszym wyładował na Iotnisku w Kujbyszewie, przylatując z dalekiej Anglii, Naczelny Wódz, General Władysław Sikorski, Naczelny Wódz przybył do nas, abymy zbadali nasze troski i obowiązki, abymy samemu po Iotnisku — spojrzeli nam w oczy i wyraził z nich co jest warte jestem.

Ponadto Naczelny Wódz, jako Szef Szlaku Polakow, będzie omawiać z władzami sowieckimi sprawę dalszej rozbudowy armii i sprawę pomocy dla polskiej ludności cywilnej, mieszkającej na terenie Związku Sowieckiego.

Z O L N I E R Z E !

Zawładnam Was, że w waszym imieniu zameldowanym Naczelnemu Wódzowi jak bardzo cieszymy się waszym przybyciem do nas w naszym gronie, oraz że my żołnierze Rzeczypospolitej, którym los mego nie oszczędził, jesteśmy Mu wdzięczni za dwie rzeczy:

— że swoim łaskawym, zdecydowanym i nieustępliwym stanowiskiem obradzi na całym świecie podziw i szacunek dla Narodu i żołnierza polskiego;

— że ze nam rozbitkom wywarł, oswoił i nas z wieżami i obozów i wczelny nam w ręce z powrotem broń do walki za Ojczyznę.

Z O L N I E R Z E !

Gdy stanie On pomiędzy Wami, w waszych rejonach, oddajcie Mu cześć i waszą żołnierską postawą, niech wystrzeli w waszych wierzchołkach miłość i szacunek i pełne zaufanie.

Teraz wyzywam Was do winiestego okresu.

NACZELNY WÓDZ GENERAL WŁADYSŁAW SIKORSKI MIECH ŻYWI

Dowódca Polskich Sił Zbrojnych

(-) ANDRZEJ WŁADYSŁAW

„O REWOLUCJI”

Broszura Ryszarda Wraga „O rewolucji” (wyd. „Biblioteki Orła Białego”, Rzym, 1945) — to wnikliwa, z dużą znajomością przedmiotu wykonana analiza niezwykle skomplikowanego i zagmatwanego układu ideologicznego obecnej wojny. Wojna obecna, jak i każde zresztą, powodująca zasadnicze przemiany społeczne i gospodarcze oraz rewolucjonizująca narstroje mas wobec wywołania się braków w układzie dotychczasowych stosunków ustrojowych, moralnych i społecznych — w przynajmniej analizie R. Wraga zarysowuje trzy obozy: świat kapitalistyczny, świat rewolucji potencjalnej i świat rewolucji zwycięskiej.

Kapitałizm, reprezentowany przez W. Brytanię i Stany Zjednoczone oraz przez państwa osi, przetrwała — zdaniem autora — swój okres kryzysowy. W swej gorączkowej ofensywie w głąb Europy w poszukiwaniu i rozszerzaniu stref wpływów, kapitalizm ten dynamizuje r e w o l u c j ę p o t e n c j a l n ą.

Istotny ośrodek rewolucji potencjalnej w Europie autor widzi we Francji, która w odpowiednim momencie może być wzmożona rewolucyjnie przez Belgię i Hiszpanię. Wprawdzie o innym charakterze, lecz w dużym stopniu dynamizm rewolucyjny tkwi w Niemczech i Włoszech.

R. Wraga nie przeczyje ścisłej trzeciego obozu: świata rewolucji zwycięskiej, który ujawni się w Rosji Sowieckiej. Istotnie, tytuł „zwycięskiej” można tu zastosować jedynie dlatego, że przewrót rewolucyjny w Rosji się udał. Lecz w rezultacie zmieniła się tam tylko warstwa rządząca — zmieniły się personalna — pozostawiając, z grubsza, te same idee imperialistyczne i te same metody rządzenia, te same błądźczy społeczne. Rewolucja w głębszym sensie społecznym w Rosji się nie dokonała, zamroziła się; Rosja nadal jest krajem kapitalizmu imperialistycznego, z mniejszym lub większym zarodkiem rewolucji potencjalnej.

Natomiast doskonale autor precyzyje istoty stalinizmu i sowiectyzacji, wykazując gruntownie znajomość problemów rosyjskich. Obrazuje niesamowitą mechanikę wykorzystania hasel społecznych i wolnościowych do wzmożenia państwa i władzy, wycozysania nastrojów rewolucyjnych dla celów imperialistycznych-zaborczych. Marksowski uniwersalizm społeczny w tygłu moskiewskim stał się podwójną państwowością: rosyjskiej — stalinizmu —

oparłego nie na potencji rewolucyjnej mas, nie na społecznym uświadomieniu proletariatu, nie na kulturalnym rozwoju społeczeństwa, lecz na sile.

Owe hasła społeczne wpięcone w stalinizm, a nie mające już tam żadnego sensu, animują rewolucjonizującą masę świata i czynią ją satelliteami Rosji. I tutaj autor przedstawia strategię i taktykę polityki państwa moskiewskiego — od podjudzania niezadowolonych mas, poprzez przygotowanie antynomii społecznych i wykorzystywanie nawet rozdziewków kapitalistycznych, poprzez różne „lewocowanie” i „ukłonny”, poprzez komunizm — do sowiectyzacji, do więzienia opęnowanych terenów do państwa moskiewskiego. Cała ta mechanika autor ilustruje na tle obecnych stosunków w Europie.

Rosja Suwiecka, rewolucjonizująca i szermująca hasłami rewolucyjnymi, sama boli się prądów rewolucyjnych od niej niezależnych i stara się je niszczyć w zarodku. Wytwarza się paradoksalna pozorna sytuacja: cały Zachód prze ku demokracji; Rosja — operująca hasłami lewicowymi — idzie ku reakcji. Nie znosi rozwoju demokracji. Np. Polska, która w pismach Marksa, Engelsa, a nawet Lenina miała osiągnąć w Europie „pierwszorzędne znaczenie z punktu widzenia demokracji” — w opinii sowieckiej jest krajem reakcyjnym, „faszystowskim”. I predestynowanym w pierwszej kolejce do sowiectyzacji.

W cześci zatyłutowanej „O rewolucji polskiej” Ryszard Wraga kreśli wszystkie możliwe aspekty rewolucji w Polsce oraz omawia skłótnościę wpływów różnych obcych ośrodków inspiracji rewolucyjnej. Malując rzeczywistość polską dowodzi, że „rewolucja w Polsce nie ma żadnych realnych przesłanek bytu. Przed narodami Rzeczypospolitej zarysowuje się droga wielkiej i ciężkiej pracy rekonstrukcyjnej, w której nie ma miejsca na wstrząsy nie zatłuwające niegro, a w konsekwencji pogłębiającej jedynie wasnie narodowe”. Nie znaczy to jednak, że Polsce nie grozi możliwość wegnięcia w orbitę rewolucji cudzych, dokonywujących się lub mających się dokonać z obcych środków dyspozycyjnych. Autor to przewiduje i przedstawia szkodliwocię rewolucji od strony Wschodu i od strony Niemiec. Zgubną bezdnie wszelka rewolucja w Polsce, jeżeli nie będzie europejska z ducha a polska w treści i formie.

F. Z.

PRZEGLĄD PRASY

Rosyjscy socjaliści o granicach sowiecko-polskich

Według informacji „Robotnika Polskiego” z 14 kwietnia br., w piśmie „Socjalistyczny Wiestnik”, centralnym organie rosyjskiej Socjalno-Demokratycznej Partii Robotniczej toczyła się ostatnio dyskusja między znanym politykiem rosyjskim Kiereńskim a wybitnym rosyjskim publicystą socjalistycznym (mieszkańcem) Szwarcem w sprawie granic polsko-sowieckich. Kiereński bronił decyzji krymskich co do t. zw. linii Curzona, natomiast Szwarc przeciwstawiał mu takie argumenty:

„Granice między państwami nie są „tabu”; w określonych warunkach mogą one ulegać zmianom i poprawkom. Ale wśród zwolenników międzynarodowego porządku prawnego nie może być — jak by się wydawało — różnicy zdań co do niektórych zasadniczych kwestii! „po pierwsze, granica między państwami zgodnie ustanowiona, nie może — przynajmniej do czasu wojny między tymi dwoma państwami — ulegać zmianie na podstawie jednostronnej decyzji jednego państwa.”

„po wtóre, każda próba jednostronnej zmiany granic i narzucenia słabszej stronie przez stronę silniejszą swojej woli stanowi akt stosowania prawa pięknego w życiu międzynarodowym, zastrzegającym na długo wzajemne stosunki między oba państwami!”

„po trzecie, takie jednostronne akty i oparte na nich fakty dokonane rodzą w najwyższym stopniu niezadowolony „klima” międzynarodowy, wykluczający możliwość utworzenia trwałego porządku prawnego”.

T. zw. linia Curzona została drogą szantażu narzucona mocarstwom zachodnim przez Rosję na konferencji krymskiej, kiedy istniała jeszcze możliwość jednostronnego porozumienia się Rosji z Niemcami według precedensu umowy Ribbentrop-Molotów z sierpnia 1939 r. Podobne próby szantażu ze strony Rosji nie ustają; ostatnie pomyśly Tito-Broza postulując powtarzające rozkazy moskiewskie, są doskonałą ilustracją prawdziwości twierdzenia cytowanego przez nas socjalistycznego pisarza rosyjskiego. Ale już dużo się zmieniło od czasu Krymu. Ostatnie wystąpienia angielskich i amerykańskich mówców stanu nie pozostawiają żadnej wątpliwości, że Rosja nie może już nadsładować krótkowzrocznej polityki stosowanej do niedawna przez innych dyktatorów. Dziś możemy o Trójeści, może niedługo będziemy mogli mówić i o linii Curzona.

Nasze najpilniejsze zadanie

„Politikus” w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza” z 17 kwietnia b. r. omawia palący problem t.zw. D.P. (Displaced Persons — osoby wysiedlone). Oblicza się, że ludzi kategorii D. P. na terenach wyzwolonych przez wojska sojuszników zachodnich może być około 9 milionów; niektórzy obserwatorzy przewidują nawet, że liczba ta wzrośnie do 12 milionów. Kto wie, czy Polacy nie stanowią najliczniejszej grupy, może nawet przekraczającą 3 miliony osób.

„Zajęcie się tą gromadką, znanąną głodem, niepewnością, złym traktowaniem, bombardowaniami, które spadły na miasta i centra fabryczne, wyzyskiem na pracy — oto wielkie i odpowiedzialne dzieło. Wszystkie siły polskie na emigracji winny być wyzyskane dla pomocy tym nieszczęśliwym. Mobilizacja wszystkich naszych stowarzyszeń z pod znaku charytatywnego winna być dokonana dla pomocy tej tryzylionowej masie polskiej. Potrzeba tam lekarzy, lekarstw, żywności, zaopatrzenia, kantu, świetlic, kin, kłażek. Jest to wielka praca, która nie będzie ukończona ani jutro, ani za pół roku. Przypuszczają, że praca ta zajmie rok, a może i dwa, i że poważne centra polskie ist-

nieć będą przez ten czas w Rzeszy zachodniej. Tym ośrodkom trzeba dać pomoc, strawę materialną i duchową, trzeba im okazać serce”.

„Ratowanie rozbitego, wyniszczonego żywiołu polskiego od biedy i nędzy, od dalszego wykruszenia się — jest obowiązkiem na dzisiaj i na jutro. Ofiary, jakie ponieśliśmy w tej wojnie są potworne. Upust krwi polskiej jest olbrzymi. Musimy zrobić wszystko, ażeby położyć kres tym stratom i upustowi krwi, musimy z największą troską zabrać się do pomocy tym rozproszonym, wydziedziczonym i wykorzenionym — musimy szczególnie wpościć opiekę nad dziećmi i młodzieżą, która przeszła najgorsze rzeczy w czasie wysiedlenia do Rzeszy i w czasie pobytu w Niemczech. Cała emigracja polska na zachodzie ma dzisiaj obowiązek pomocy tym tragicznej kategorii Polaków w Niemczech, która ujęta jest w angielskim języku urzędowym w lakoniczny skrót D. P.”.

Siła i chwała

Z artykułu Alastaira Forbesa zamieszczonego w „Daily Mail” z 10 ub. m. wyjmujemy następujące zdania świadczące o tym, że pisarze polityczni Anglii jeszcze przed upadkiem Niemiec umieli patrzeć na Rosję właściwymi oczami.

„Wydaje się, że jedyną decyzją, jaką osiągnięto w Jałcie w sposób jednomyślny i bez dyskusji, była data otwarcia konferencji międzynarodowej w San Francisco tj. 25 kwietnia br. Ale już

to wszystko co miało być dyskutowane na konferencji było przedmiotem żelaznych kontrowersji”.

„Kaźde państwo, które rozmyśla o dążności do narzucenia warunków, które graniczącą pełną wolność dyskusji na konferencji pokojowej, staje się jednocześnie sabotażystą międzynarodowego porządku i to raczej w angielskim niż w moskiewskim sensie”.

„Wielu z tych, którzy z przeszłości byli jak najbardziej szczerymi obrońcami spraw rosyjskiej, są obecnie codziennie prowokowani przez „Izwestia” i oburzani najgorszymi wyrażeniami przez „Wojnę i Raboczy Klas”.

„Jest obecnie rzeczą oczywistą dla wszystkich bezstronnych obserwatorów, że teraz nie przestrzegają się ani dębami ani literami interpretacji Edena postawionej krymskiej co do Polski”.

„Jednostką co do Polski, jak w innych krajach, stanowią zlamane ostatniego porozumienia trzech mocarstw. Im szybciej nastąpi wyjaśnienie sytuacji, tym będziemy szczęśliwsi”.

„Trudno jest zrozumieć, dlaczego marszałek Stalin więzi wiary w pakcie bilateralne, aniżeli w odpowiednią organizację międzynarodową, kiedy jego ostatnie dwa doświadczenia z traktatami bilateralnymi zawartymi z Niemcami i Japonią były tak katastrofalne dla Rosji”.

„Przemianą pokój jest problemem siły, jej użycia i jej nadużycia. Wielka Brytania może przynajmniej udać się do San Francisco jasno uzostawiając sobie, że siłę, jaką jej posiadawiono, użyje dla szczęścia ludzkości”.

„Nikt też sprawy nie rozumie jasnie od Winstona Churchilla... który w swoim czasie powiedział: „gdy narody są silniejsze są one zawsze sprawiedliwe, a gdy chca być sprawiedliwe, to często nie są już silne... Obymy się mogli dobrać do bogostawiane pęczenia siły i sprawiedliwości”.

„Zadna ofiara nie będzie saremą dla zabezpieczenia tego bogostawiane pęczenia. Jeżeli aliancy w ogóle, a my Brytyjczycy w szczególności o tym nie zapomniemy, to będziemy mieć dużo szans w zapewnieniu lepszego pokoju, od tego który lord Keynes ostatnio tak gorze napiętnował jako pokój bez szlachetnie pierwiastków, bez moralności i bez myśli przewodniej”.

Prężność narodu

Cytowana już przez nas kilkakrotnie „Deflacja”, tygodnik żołnierzy i Dwiżjii Pancernej jak zawsze, tak i tym razem przeciwstawia niezachcianą wiarę polskiego żołnierza zarówno defetyzsem, który zełamują ręce, jak i popospolitym zdziwcom:

„Polska w tej wojnie poniosła stosunkowo największe straty, nie tylko w bogactwie ale i w ludziach. Prawdopodobnie blisko jedna czwarta jej obywateli przedwojennych nie wróci z wojny. Ale równocześnie Polacy pokazali niebywałą zdolność walki w najcięższych warunkach. Najlepszym tej walki symbolem jest żołnierz tajnej setki tysięcy ludzi liczącej Armii Krajowej. Przez pięć lat Niemcy nie zdołali dać sobie rąk z tą armią i czekała się ona na walki. Wykazał Polacy także ogromną zdolność organizacyjną, tworząc państwo podziemne ze wszystkimi władzami działającymi skutecznie a niedostępne dla okupanta”.

„Dziś gdy położenie Polski jest jeszcze trudniejsze niż było dotąd, a kłamstwa w naszej sprawie przokazywały swoją bezcelnością wszystko, cośmy kiedykolwiek słyszeli, niedługo człowiek szlubszego ducha, zwieszca i oderwany latami od własnego społeczeństwa, wątpli: zełamuje ręce. Ale z kraju takie „głosy” nie dochodzą. Tu i tam panuje wciąż wiara w zwycięstwo i wola zwycięstwa. I nie tylko w samym kraju. W miare, jak polacie Zachodnich Niemiec są zdobywane, wylaniają się stamtąd krociowe rzese Polaków wyrwiezionych z Polski na roboty w tych bombardowanych ustawicznie terenach. Wszędy ci ludzie, bez względu na wiek i wycochanie, mają tylko jedno życzenie: chcieliby być w wojsku polskim, chcieliby walczyć”.

„Straty materialne a nawet straty ludzkie nie są niepewetowane w narządzie zwyciężonym nieczłonną wiarą i wola. Nie do naprawienia jest tylko złamanie moralne, jakiego przykład dają nam niektóre kraje zachodu. Kombinacje polityczne, choćby najgorsze, i choćby najpilniejsze zawsze są przejściowe. Można wyrzucić wielkie skłody, nie mogą zwyciężyć narodu. Naród jak drzewo, nie ginie, gdy straci parę korzeni, ginie gdy wyschną korzenie. Odraśta z jednego bodaj zdrowego pędu”.

Scrafator



Na odpoczynku

Fot. Kojwold

MONTE CASSINO

(Dokończenie ze str. 1.)

Czy krew pod Monte Cassino polała się na darmo? — jak próbowała szeptać wroga propaganda. Czekta ta krew wciąż na swą zapłatę. Jeszcze nie została nagrodzona. Jeszcze cel, dla którego toczyła się polska bitwa o Monte Cassino, ten sam cel, dla którego we wrześniu 1939 r. obywateli, ślimy za broń, nie został osiągnięty mimo, że jeden z naszych zabójców na kapitulację przystał już miesiąc. Nakaz z Monte Cassino nie jest zatem jeszcze wykonany. Dalej trud o jego wypełnienie ciąży wciąż na nas. Ale widzimy przecież, czym bylibyśmy dziś, gdyby nie było tego zwycięstwa? Czy istniałyby jeszcze 2. Korpus? Czy mógłby rość w nowe siły? I czy rząd nasz mógłby bronić nieomalnie praw narodu polskiego, nie mając w ręce argumentów tak przekonujących, jakimi są zasługi wojenne, dzielność reprezentowanego narodu, jego patriotyzm i wierność ojczyźnie?

Dla nas, których czeka ciężki jeszcze okres walki o niepodległość, gdy wszystkim siłami dążyć musimy do zerwania łańcuchów, które przyniotły znowu nasz kraj i odcięły go od świata, bitwa o Monte Cassino stanowiąc będzie zawsze przykład mędrości, czym dla narodu walczącego jest wiarę i wola zwycięstwa. Bez woli zwycięstwa nie ma wygranej. Nie pesymizm czy optymizm — subiektywne pojęcia pozapolityczne — są istotne dla walki wszelkiej, ale wola zwycięstwa, której przeciwstawieniem jest tylko defetyzm. Nie zabrakło też woli upartej, żywej, nieczłonnej w bitwie o Monte Cassino. Nie może jej zabraknąć w dalszych zmaganiach o wola szczytowa. Taki jest testament z Monte Cassino. Testament ten wzywa nas musimy tym krupulatlę, nie czuj się czasy, im twardsze skały na drodze.

Arp.

REWIZJA GRANIC POLSKI

Redaktor przyjaznego Polsce doskonałego tygodnika „Spectator”, William Harris, dokonywa w książce „Problems of the Peace” *) przeglądu najważniejszych zagadnień, którymi będzie się musiała zająć przyszła konferencja pokojowa.

Jednym z najistotniejszych jest stosunek Rosji do postanowień wschód od Niemiec, które uważa ona za swoją „sferę wpływu”. Chodzi przy tym nie tylko o to, czy Rosja rozstrzygnie skomplikowane zagadnienia na tych obszarach sprawiedliwie, ale o sposób, w jaki je rozstrzygnie. Harris uważa los państw bałtyckich za przesądony: w przyszłej Europie nie będzie zapewne miejsca na tak małe państwa niezależne. Inna sprawa z Rumunią i z Polską. Autorowi się wydaje, że Roja nie zagraża niepodległości tych państw, pragnie jedynie przesunąć je bardziej na zachód.

Harris przypomnia, że z traktatu brytyjsko-polskiego wynika jasno „(the natural implication of the treaty)”, że po porażce Niemiec Polska powinna „wejść w posiadanie terytoriów, które miała w r. 1939”. Tak by się stało, gdyby decyzja zależała wyłącznie od Wielkiej Brytanii i Francji i Stanów Zjednoczonych. Stanowisko Rosji jest jednak inne. Od czasu aneksji wschodniej Polski w r. 1939 zmianę ona stanowisko nieprzejednane, mimo że przedtem wielokrotnie potwierdziała traktat rylski, mimo że w traktacie z

Polską w r. 1941 uławiażniała umowy z Niemcami dotyczące podziału Polski, mimo że Wielka Brytania wyraźnie oświadczyła, iż nie uznaje żadnych zmian w granicach Polski od r. 1939. Być może, przyszła konferencja pokojowa podzieli stanowisko Rosji, ale zanim to nastąpi, „jest rzeczy całkowicie niedopuszczalną, by to czyn inne państwo, Rosja, Wielka Brytania, Stany Zjednoczone czy też sama Polska, miało uważać szczególnie sporną kwestię za rozstrzygniętą... na swoją korzyść, w dodatku jeśli to rozstrzygnięcie sprzeciwia się wyrażeniu Kartie Atlantycznej, i zaprzeczaloby sprzymierzonym „lucus standi” w tej sprawie”.

Jeśli chodzi o zachodnie granice, Harris chwali rząd polski za wstrzemięliwość. Wchłonięcie zbyt wielkiego odsetka ludności niemieckiej może wywołać poważne komplikacje, tym więcej, że element niemiecki będzie zawsze podsypany przez polską mimo lekkiej wojennej Rzeszy. „ROenia” o ekspansji w kierunku Odry nazywa Harris „szaleństwem” i nie przypuszcza, by jakikolwiek rozsądny Polak myślał o tym na serio. Polsce przypaść powinna na miast rozsta Górnoe Śląska i Prusy Wschodnie. Prusy Wschodnie były zaważ kolebką najbardziej następiuwo szowinizmu, są wrogą i niebezpieczną enclawą w polskim terytorium, zagrażającą Polsce dostęp do morza. Zagadnienie ludności niemieckiej nie będzie przedstawiało poważniejszych trudności: reszta zostanie przesiedlona. Harris przypina, że oddanie Prus Wschodnich sprzeciwia się Kartie Atlantycznej, ale w pewnych wypadkach trzeba wybierać mniejsze zło.

*) Problems of the Peace, By Wilson Harris, Cambridge University Press. Current Problems. General Editor: Sir Ernest Barker. nr 21. 1944: str. XII i 116.